

Fran Baker

San Antonio

Gęsta chmura kurzu dawała znać, że drogą nadjeżdża samochód; patrząca przez okno sypialni na piętrze dziewczyna z ciekawości ledwie była w stanie usiedzieć na miejscu. Któż to może być? Doskonale widziała miejsce, w którym pochowano jej matkę - znaczyła je jedna jedyna żółta róża. Na dole, w biurze, ojciec zakopał się głęboko w stertę papierów. Nawet zarządca farmy, który kochał ją do szaleństwa, jakby była jego własną córką, w dzień po pogrzebie, wczesnym rankiem, chyłkiem spakował swoje juki i wyruszył na wzgórze, by tam, w odosobnieniu, samotnie przeżywać swój ból.

Ktokolwiek by się pojawił, będzie tu mile widziany - przynajmniej przez nią, dwudziestoletnią dziewczynę.

Potrząsnęła głową, przerzucając na plecy kaskadę długich, skręconych w obfite loki, blond włosów. Oparła się łokciami o parapet i znieruchomiała, śledząc wzbijający się na linii horyzontu obłok płowego pyłu.

Nie musiała czekać długo. Na zwirową aleję, wiodącą pod dom wtoczył się powgniatany niemiłosiernie, kasztanowaty studebaker. Podskoczył, zachrypiał, buchnął ostatni raz gęstym smrodliwym dymem i wreszcie znieruchomiał.

Wysiadł z niego mężczyzna w pomiętym słomkowym kapeluszu, ubrany w wypchane robociarskie drelichy i sandały o podeszwach wykrojonych z opon, a zaraz za nim wyskoczył z wozu chłopak okryty szerokim czerwonym kocem. Na ich widok - dziewczyna pomyślała, że muszą być imigrantami poszukującymi pracy. Na tylnym siedzeniu gruchota siedziała kobieta z dwojgiem małych dzieci. Ich przyciśnięte do szyby twarze wyrażały słabą nadzieję pomieszaną z obawą, że po raz kolejny - który to już z rzędu? - znów zostaną odprawieni.

Na głos dzwonka dziewczyna ruszyła przez sypialnię i zeszła schodami na dół. Jęknęły otwierane drzwi, a znajdujący się za nimi mężczyzna drgnął zaskoczony. W chwilę potem

stanął obok niej ojciec, który widocznie zauważył samochód przez okna swego biura.

Przez dłuższy czas nikt nie poruszył się ani nie rzekł słowa. Ojciec patrzył na przybyszów ze zniecierpliwieniem. Był Teksańczykiem, spadkobiercą rodu przechowującego od pięciu pokoleń pamięć o okropieństwach Alamo. Ale teraz zabraknie już twardych potomków rzeki Santa Ana. Był wszak wdowcem i nie miał synów, którym mógłby zostawić rodowe nazwisko. Miał za to córkę, którą musiał wychować. Córkę o złotych włosach, marzących szarych oczach i cerze delikatnej jak skóra dziecka; żywy obraz jego zmarłej właśnie żony.

- No, gadajcie, ale po angielsku - burknął szorstko. - A potem jazda mi z mojej ziemi.

Chłopak zeszywniał, jakby uderzony kijem. Był trochę wyższy od dziewczyny i o jakieś cztery lata od niej starszy. Nosił dzinsy i koszulę o barwie czerwonej, wypalanej gliny, a wszystko to spłowiałe od wielokrotnego prania. Jego włosy były czarne i lśniące jak skrzydło kruka. Miał skórę o osobliwym, miedzianym odcieniu, przywodzącym na myśl hiszpańskich przodków. Prosty nos i szeroko rozstawione kości policzkowe nadawały twarzy wyraz niezwyklej szlachetności, Ale najbardziej fascynujące były jego oczy - lekko przydymiony błękit północnego nieba, najpiękniejszy, jaki dziewczyna kiedykolwiek widziała.

Nagle zdała sobie sprawę, że i on jej się uważnie przygląda. Zarumieniła się i spuściła wzrok na jego zdarte tenisowe buty. Poczowała niezwykłą lekkość w piersiach, jakby coś uskrzydliło jej serce; wiedziała, że oto coś się w niej nieodwołalnie zmieniło, że na zawsze zapamięta tę chwilę ich milczącej, wzajemnej ciekawości.

Trzy dni później Meksykanin wprowadził żonę i dzieci do największego z czterech położonych obok domu budynków dla służby.

Rozdział 1

Połowa ludzi zebranych na rodzinnym cmentarzu przyszła tu, by oddać ostatnią posługę prawdziwemu Teksańczykowi. Druga połowa znalazła się tu po to, by osobiście upewnić się, że Wielki Tom Crane rzeczywiście nie żyje.

Rafe Martinez zaparkował swą corvette stingray rocznik '63 przed domem, pomiędzy półciężarowym fordem F - 150, którego tylną szybę całkowicie zasłonił stojak na karabiny, a jaskraworóżowym cadillaciem, którego przednią maskę osłaniała krata i potężny zderzak.

Przez jedenaście lat wygnania zmienił się zupełnie, ale na pewno nic nie było w stanie go poskromić. Grube, czarne włosy rozsypane na kołnierzyku śnieżnobiałej koszuli swą długością dalej raziłyby każdego hodowcę bydła, a srebrny kolczyk błyszczący w lewym uchu z pewnością już budził powszechną odrazę. Poza tym Rafe miał swój własny, niepowtarzalny styl. W otoczeniu, w którym dominowała moda amerykańskiego Zachodu, chodził z odkrytą głową, ubrany w strój o europejskim kroju, wspaniale uwydatniającym jego szerokie ramiona, smukłe biodra i nogi długie jak u biegacza. Krawat z ręcznie malowanego jedwabiu zastępował tradycyjną aksamitkę, zaś pas z wielką, rzucającą się w oczy metalową klamrą ustąpił miejsca szelkom. Kosztowny zegarek na nadgarstku służył mu przede wszystkim do zwracania na siebie powszechnej uwagi.

W tym stroju jedynym ustępstwem na rzecz mody Lone Star były czarne, ręcznie szyte buty z jaszczurczej skóry. Były wspaniale miękkie, ale ważne też było to, że dzięki wysokim obcasom Rafe mógł z góry spoglądać na chylące się przed nim z szacunkiem głowy gringos.

Mężczyzna zdjął ciemne okulary i wetknął je do kieszonki na piersi, po czym wysiadł z wozu i przyłączył się do procesji. Wkrótce przekroczył bramę cmentarza, na którym obok ciała

swojej wiecznie schorowanej żony Laurindy spocząć miał Wielki Tom Crane.

Był tak cudowny, nieskazitelnie piękny dzień, że Rafe pomyślał, iż jest wprost wymarzony na pogrzeb. Cała przyroda zrzuciła już szarą zimową szatę i przystroiła się wspaniałością kwietnia. Dęby i hikory puszczały drobne zielone listki, a ptaki przybrały jaskrawe piórka. Jak okiem sięgnąć stokrotki pokryły biało - różowym kobiercem płaskie wierzchołki wzgórz.

Widziany z cmentarza dom, wielkie wiktoriańskie monstrum, przywoływał wspomnienie pewnej wiosny, słodszej niż inne, gdy w ciele Rafe'a krążyły młode soki, a w jego sercu czystym, jasnym płomieniem zapłonęła miłość. Lecz po wiosnie przyszła okrutna zima. Wtedy to postanowił, że dopnie swego. I dopiął. Dokładniej nawet, niżby się komukolwiek - nawet jemu samemu - śniło.

Tego ranka Rafe wyszedł ze swego biura prawniczego w San Antonio o dziewiątej. Musiał zrobić autostradą czterdzieści mil. Otworzył wszystkie okna w swojej corvette i słuchał cichego pomruku jej silnika. Wydało mu się, że dotarł do zjazdu z autostrady w rekordowo krótkim czasie. Droga, w którą skręcił była niegdyś ścieżką bizonów. Znał ją niemal tak dobrze jak dziewczynę, która kiedyś zawsze czekała na niego u jej końca.

Cały Teksas, zupełnie jak Rafe, w ciągu ostatnich kilku lat zmienił się gruntownie. W latach osiemdziesiątych ceny ropy naftowej spadły na łeb, na szyję. Znikły niemal zupełnie bariery językowe, co było jasną stroną tych przemian - przynajmniej tak sądził Rafe. Latynosi pokonali stawiane dotąd przez lokalną administrację w San Antonio przeszkody i zdobyli wpływ w ratuszu i w okręgowych sądach.

Jedynie Koło C pozostało takie jak dawniej - Rafe zdał sobie z tego sprawę, gdy tylko przyjechał. Walące się ranczo

nie zmieniło się ani na jotę i wszystko przemawiało za tym, że powrót Martineza byłby dla tego miejsca prawdziwym błogosławieństwem.

Żałobnicy szerokim półkolem otoczyli grób. Rafe zdecydowanie, ale i ostrożnie przecisnął się do pierwszej linii.

Sędzia miejski, do którego odwoływał się jeszcze w zeszłym tygodniu, skinął w milczeniu głową. Ranczerzy z okolicy, nieustannie drący koty z Wielkim Tomem, zerkali na Rafe'a, podejrzliwie i spode łba. Dawni chłopcy od bydła, którzy jak on wyjechali szukać chleba w mieście, dotykali kapeluszy, składając nieznaczne ukłony. Żony notabli, przystrojone w diamentową biżuterię, gapiły się zdumione; ich córki z pewnością nie odmówiłyby mu niejednego...

Ale twarz Rafe'a pozostała gładka i chłodna. Nie pozwolił, by cokolwiek go rozpraszało. Znalazł dla siebie miejsce i przybrał tradycyjną pozę żałobnika: lekko rozstawione nogi, ręce złożone na podołku. Chciał widzieć jedynie kobietę, która stała naprzeciw niego. I chciał, żeby ona jego widziała.

Jeannie... bezwiednie wypowiedział jej imię, a mało brakowało, by zawołał głośno. Stała przytulona do ramienia wieloletniego zarządcy, Rusty'ego Pride'a. Obok niej stał chłopiec, na oko dziesięcioletni, o dziwnie znajomym wyglądzie. Dalej Rafe zobaczył mężczyznę, którego nie znał, a który pochylił się ku kobiecie z męzowską czułością i troską.

Stare rany otworzyły się na nowo, odnowił się ból spowodowany dawną, lecz ciągle straszną zdradą. Rafe próbował stłumić wspomnienie i skupić się na chwili obecnej. Ale przeszłość i terażniejszość stopiły się w jedno. Wzruszająca swym pięknem, dławiąca gardło wizja stanęła mu przed oczami - tak blisko i tak realnie...

Jeannie miała czarny słomkowy kapelusz o miękkim rondzie. Włosy były schowane, ale Rafe doskonale je pamiętał: lśniące słonecznym blaskiem, prawdziwie anielskie -

jak zawsze jej powtarzał. Kolczyki z perłą rozjaśniały dyskretnym, matowym refleksem miękkie rysy twarzy i długą, pełną wdzięku linię szyi. Świetnie leżący żakiet i jedwabna spódniczka podkreślały zachwycającą figurę. Szczupłe, zgrabne nogi o powabnym, doskonałym rysunku opinały czarne pończochy, których opalizujący, ciemny blask modelował delikatnie ich wspaniałą i niepokojącą rzeźbę. Płytke skórzane czółenka na obcasach dopełniały obrazu tego ze wszechmiar godnego pożądanego wcielenia kobiecości.

Smukłą dłonią czule pogładziła włosy chłopca. Pod szerokim rondem kapelusza Rafe dostrzegł na moment jej twarz. Twarz piękną nawet w cierpieniu. Głaszcząc malca, wodziła nieobecny wzrok po zebranych przy grobie żałobnikach - aż wreszcie jej wzrok padł na obserwującego ją mężczyznę. Ich spojrzenia skrzyżowały się. W ułamku sekundy zadrżało w nich bolesne, wstrząsające wspomnienie.

- Módlmy się.

Pastor otworzył czarny psalterz i rozpoczął pełen prostoty protestancki obrządek. Wszyscy - z wyjątkiem Rafe'a i Jeannie - opuścili głowy.

Monotonne słowa pastora nałożyły się na bezruch i ciszę zebranych, tylko

niebieskooki chłopak z hiszpańskiej dzielnicy i złotowłosa dziewczyna z Bolero

patrzyli na siebie ponad ubraną kwiatami trumną.

Czy to możliwe, by nawet po śmierci jej ojciec mógł ich rozdzielić?

*

Jeannie Crane myślała przez chwilę, że oczy odmówiły jej posłuszeństwa. Już niejedną raz myliła jakiegoś ciemnowłosego, wysokiego młodzieńca z Rafe'em Martinezem. I nie po raz pierwszy ktoś, kto był tylko mocno zbudowany i nosił się bardzo po męsku, przypominał o nim.

Serce skakało jej wtedy do gardła, ale zawsze okazywało się, że to ktoś obcy. Odwracała się wtedy, a ból i żal natychmiast tłumili wszystkie poprzednie uczucia. Ale teraz - była tego pewna - patrzyła właśnie w te oczy, o których śniła w dzień i w nocy. I nie mogło być mowy, żeby ten dumny nos i wspaniałe, silne kości policzkowe należały do kogoś innego. To właśnie te usta, świeże i wyraźnie zarysowane, tak oczarowały ją, osiemnastoletnią dziewczynę.

Wszystkie te wspomnienia miały już jedenaście lat - lecz ból, jaki niosły, przeszywał ją tak, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj.

- Źle się czujesz? - szepnął Rusty.

Z trudnością oderwała oczy od Rafe'a i spojrzała na stojącego obok mężczyznę. Miał na sobie brązowy garnitur, niemal tak stary jak on sam, a w cieniu kapelusza jego twarz wydawała się ni to zakłopotana, ni to zboląta,. Przesunęła wzrok niżej i teraz dopiero zobaczyła, że jej ręka konwulsyjnie ściska jego ramię. Opanowała się i rozluźniła chwyt.

- Nie, nie - powiedziała cicho. - Wszystko w porządku.

Pastor ciągnął modlitwę głosem bezbarwnym i monotonnym. Nad leżącym na trumnie wieńcem z żółtych róż sennie brzęczała pszczoła. Lekki wiaterek poruszał wstęgami z białego aksamitu, którymi kwiaty zostały przywiązane do wieka. Te niebieskie oczy! Znów spojrzała na Rafe'a. Nie mogła się oprzeć. Przykuwał jej wzrok jak magnes.

Zmusiła się do tego, by przymknąć powieki i opuścić głowę. Choć rozpaczliwie próbowała - nie mogła pozbyć się uporczywie powracającej myśli, że historia zawsze się powtarza: - Czują, że znów jest rozdarta między nimi dwoma: Wielkim Tomem i Rafe'em Martinezem.

Wszyscy mówili na ojca „Wielki Tom”. Jeannie także. Cóż, nigdy nie słyszała, by ktokolwiek wołał inaczej. Ale też

ojciec zasługiwał na to: dwumetrowy i dobrze ponad stukilowy olbrzym, żelazną ręką rządził swym rozległym królestwem. Lecz żadna władza, żadne bogactwo nie mogło zakazać jego córce miłości - do kogo? - do syna peona.

- Z prochu powstałeś... - głośniejszym głosem zaintonował pastor.

Jeden z sześciu trzymających całun chłopaków podniósł z wieka kwiaty i odłożył na bok, a potem dołączył do swych towarzyszy i wspólnie opuścili trumnę swego pana do grobu.

- ... w proch się obrócisz.

Rusty ujął rękę Jeannie i łagodnie ją opuścił. Postąpił naprzód i jako pierwszy rzucił na trumnę łopatę żyznej, teksańskiej ziemi. Spadła z głuchym łoskotem; ten dźwięk, tak przejmujący, kończył posępną uroczystość. Jeannie oparła rękę na ramieniu syna i lekko je ścisnęła. Sama powstrzymując łzy powtórzyła za wszystkimi: „amen”.

- Pani Jeannie Crane poprosiła mnie, abym w jej imieniu serdecznie podziękował wam wszystkim za przyjście. Niech wolno mi też będzie zaprosić was w gościnne progi jej domu na skromny poczęstunek - mówiąc to, pastor zamknął modlitewnik.

Zaczęła przyjmować kondolencje. Jakoś znalazła jeszcze siłę, by odwzajemniać pocałunki i uściski rąk.

Rafe nie szedł z innymi. Gdy Jeannie zwracała się ku kolejnym współczującym, ciągle go widziała. Byli ze sobą tak blisko i mieli tak wielu wspólnych znajomych, że Jeannie zdawała sobie sprawę, iż ten dzień nieuchronnie nastąpi. Lecz teraz, gdy nadszedł, czuła się bezbronna i kompletnie nieprzygotowana.

Od długiego stania bolały ją plecy, w dodatku ze zdenerwowania rozboleła ją także głowa. Rusty, zgodnie z obyczajem, stał tuż obok, przyjmując uściski dłoni i czuwając, by nie powstało zamieszanie. Kiedy już wszyscy odeszli,

spojrzał na samotnego mężczyznę, stojącego na tle teksańskiego nieba. Odezwał się głośno, z wyższością:

- A ten co tu robi?

Jeannie przesunęła wzrokiem za gestem jego ręki. Miała wyschnięte, spierzchnięte usta i mokre od potu dłonie. Ale zanim cokolwiek zdążyła powiedzieć, ktoś łagodnie ujął ją za łokieć. Wdzięczna, że może mieć jeszcze chwilę czasu, spojrzała w mądre oczy Webba Bishopa.

Webb był kardiologiem Toma i powiernikiem Jeannie podczas tych strasznych osiemnastu miesięcy. Od kilku lat rozwiedziony, był najmiłszym, najbardziej delikatnym z ludzi. Ale ostatnio nie mogła się oprzeć wrażeniu, że zależy mu bardzo, by ich wzajemne stosunki rozwinęły się z towarzyskich - w bardziej osobiste. Czuła się winna, patrząc prosto w jego brązowe oczy, w których widziała bezmierną cierpliwość.

- Możemy już wracać do domu? - spytał. Potrząsnęła głową.

- Nie. Jeszcze nie.

- Jestem głodny - powiedział Tony. Pogłaskała go. Wielki Tom jako ojciec miał liczne, bardzo liczne wady; był jednak przykładnym dziadkiem. Może widział w Tonym syna, którego nigdy nie miał? A może dostrzegł w końcu swój błąd, wynikający z uprzedzeń? Jakkolwiek było, wystarczyło, by tylko ujrzał maleńkiego chłopczyka leżącego u boku matki w szpitalnym łóżku - a zakochał się w nim bez pamięci.

- Czemu nie idziesz do domu z Rustym i Webbem? - głos Jeannie był naprawdę spokojny, choć znajdowała się o krok od omdlenia. - Zaraz was dogonię.

- Powiedz tylko słowo, a zostanę przy tobie - stary, poczciwy Rusty chciał jej pomóc. Był naprawdę kochany. Czas porał mu twarz i zmienił kolor jego czerwonych włosów, którym zawdzięczał przydomek, w białe srebro. Lata

jeżdżenia pod słońce i wiatr utrwaliły nawyk mrużenia oczu. Miał już połamane chyba wszystkie kości; sprawiły to na wpół dzikie konie i spłoszone, galopujące na oślep bydło. Ale pomimo swego wieku Rusty ciągle jeszcze był lepszy w jeździe konno, łapaniu na łąso i bójce na pięści niż niejeden z młodych. Był ostatnim prawdziwym kowbojem, pełnym nie udawanej galanterii w stosunku do kobiet. Jeannie wiedziała, że tak, jak swego czasu zrobiłby wszystko dla jej matki, teraz gotów był oddać życie za nią i za Tony'ego.

Uśmiechnęła się, ale przecząco pokręciła głową.

- Nie, dzięki. Wolę, żebyś miał oko na wszystko w domu.

- No, prawdę mówiąc - powiedział - rzeczywiście miałem zamiar wrócić do siebie i przebrać się. - Jako zarządzający, Rusty mieszkał osobno, w niewielkim domku oddalonym od pozostałych zabudowań. To był, jeden z przywilejów, wynikających z jego rangi. Po dniu spędzonym na pędzeniu bydła i kierowaniu ludźmi mógł odpocząć w swoim własnym domowym zaciszu. Przesunął kapelusz lekko w tył głowy i skłonił się.

- Chyba pojedę dokończyć liczenie cieląt. W przyszłym tygodniu będzie znakowanie, musisz wiedzieć, ilu chłopaków mam ściągnąć do pomocy.

Jeannie wpadła nagle na pomysł.

- A może Tony by z tobą pojechał?

- Tak, tak! - zawołał radośnie malec.

- No co, podobno jesteś głodny? - drażnił się z nim Rusty.

- Zjem szybko - prosił chłopiec.

- Niech Marta nakarmi go w kuchni.

Rusty kiwnął głową. Rozumieli się świetnie. Sięgnął swoją sękatą dłonią do czupryny chłopca.

- Chodź, pastuszku, zobaczymy co ta dziwaczka stara kuchta nam dziś wypiczyła.

Webb spojrział na Rafe'a, potem znów na pobladłą twarz Jeannie. Oczywiście znał całą tę historię. Sama mu ją ze wstydem opowiedziała. Widziała walkę na jego twarzy. Namyslał się.

- Poczekam tu na ciebie. - Zawsze był jej wierny.

- Proszę, Webb... - położyła mu rękę na ramieniu. - Muszę to zrobić sama. Wahał się ciągle, pośpieszyła więc z wyjaśnieniem:

- Może zdołam go przekonać, że lepiej będzie, by się trzymał z dala od domu. To w końcu go przekonało. Raz jeszcze spojrział na Rafe'a, potem ucałował dziewczynę w policzek, odwrócił się i przyspieszył kroku, by dołączyć do Rusty'ego i Tony'ego.

Jeannie poczekała, aż wszyscy oddalą się poza zasięg głosu.

Kręciło się jej w głowie, serce wyrywało się z piersi, gdy odwracała się ku niemu - ku ojcu jej syna.

Rozdział 2

Rafe ruszył w jej stronę, okrążając świeży grób długimi, zamaszystymi krokami. Jeannie stała spokojnie, tylko nieznaczne drżenie dolnej wargi świadczyło o tym, jak bardzo przeżywa to od dawna oczekiwane spotkanie. Przez wszystkie te lata wyobrażała sobie, jak do niego dojdzie. Mogła wpaść na Rafe'a na zatłoczonych ulicach San Antonio albo na przykład na jakimś przyjęciu. Rozmawialiby grzecznie, pomijając milczeniem przeszłość. Tak, a kiedy odchodziłaby, zabrałaby swój sekret ze sobą.

Rafe zyskał już popularność. Świetnie zarabiał. W sądzie był nieubłagany i uważny, nic nie mogło go powstrzymać od dojścia do prawdy. Najtwardszych zbrojów potrafił przyprzeć do muru. Jeannie teraz bała się go.

Nie zatrzymał się, podszedł do niej tak blisko, że aby patrzeć mu w oczy, musiała zadrzeć głowę. Ich spojrzenia znów się odnalazły i niepowstrzymana fala wspomnień przyniosła obrazy wspólnych radości, swobodnego śmiechu, zażartych sporów, gorącej, żarliwej miłości. Pragnęła znów być blisko niego, poddać się beztroskiej pogodzie ducha, jaką ją zawsze napawał. Chciała znów znaleźć się w jego ramionach, czuć to, co niegdyś czuła. Tak bardzo pragnęła przytulić głowę do szerokiej piersi, uwolnić się wreszcie od przeraźliwego ciężaru milczenia, którego brzemień nosiła tak długo.

Oczy Rafe'a zaślnęły dziwnym blaskiem. Pomyślała, że i on nie potrafi opanować wzruszenia, jakie wywołała pamięć. To mogło być dla nich niebezpieczne; ta myśl Jeannie otrzeźwiła. Ten mężczyzna, który kiedyś, w letnią księżycową noc pieścił i okrywał pocałunkami jej nagie ciało, bez skrupułów opuścił ją i ich dziecko. A i teraz mógł łatwo zniszczyć cały jej, z takim trudem odbudowany świat.

A więc trzeba się strzec, trzeba bardzo uważać na to, co się mu powie.

- Hello. Jeannie - głos miał głębszy, dojrzały niż pamiętała. Dźwięczała w nim nuta arogancji, prawdopodobnie pomocnej w kontaktach z opornymi świadkami.

Na mgnienie oka odczuła nieprzepartą pokusę, by uciec, ukryć się w bezpiecznym domu. Rozmowa z nim przerażała ją, bała się, że powie coś, co on natychmiast przeciwko niej wykorzysta. Jeśli tylko wytrzyma pierwszych kilka chwil - postanowiła - wszystko będzie dobrze.

- Hello, Rafe - powiedziała chłodno.

- Trochę czasu minęło.

- Dobrze widzieć cię w tak świetnej formie.

- Dzięki - skinął głową na ten komplement, ale usta wykrzywił drwiąco, co ostrzegło ją, że nie pójdzie jej tak łatwo. - Może powinienem raczej powiedzieć: dziękuję pani.

Zignorowała ledwie skrywane szyderstwo. Można się było tego spodziewać. Nie mogła jednak pozostać obojętna na to, że Rafe był dokładnie taki, jakiego pokochała swą pierwszą i jedyną miłością. Błękit nieba w jego oczach stał się jeszcze bardziej intensywny. Wspaniałe, gęste brwi czarne jak węgiel rzęsy jeszcze to wrażenie potęgowały. Twarz wyrażała to samo zdecydowanie, zachowała ten sam piękny, ciemny, koloryt, co dawniej, a lata dodały jej tylko siły i powagi.. Zmarszczki po obu stronach zmysłowych ust wyrażały zacieklą żądzę zdobywania, posiadania... ale i gotowość wielkiego oddania. Ubierał się natomiast zupełnie inaczej niż kiedyś. Pozbył się swego studenckiego stroju: wytartych dżinsów, lnianych koszul i wiecznie zachlapanych błotem, wysokich, kowbojskich butów. Elegancki garnitur w cieniutkie prążki, doskonale dobrany krawat, czarne lśniące lakierki - był przecież świetnie prosperującym prawnikiem. Zawsze wiedziała, że nim będzie.

Jakaś ironia kryła się w tym, że ona i Rafe zamienili się miejscami. On poszedł na wydział prawniczy i rozpoczął później lukratywną praktykę, podczas gdy ona zmuszona była zawiesić swoje studia do czasu, kiedy Tony mógł pójść do przedszkola. I chociaż zdobyła już tytuł nauczycielski, do niczego jej się to nie przydało. Ale nie żałowała swego poświęcenia. Przeciwnie.

Matka chorowała całymi latami i wielkiej roli w jej wychowaniu nie odegrała. Dlatego Jeannie czuła, że dobrze się stało, iż swojemu synowi mogła poświęcić czas i energię, których jej odmówiono.

- Przyjemne spotkanie - próbował następnego ruchu Rafe.

- Tak. - Starła się utrzymać ten powierzchowny, ugrzeczniiony ton. Dawał jej jakieś poczucie pewności.

- Co za piękny dzień, w sam raz na taką uroczystość.

- O tak, bardzo piękny.

Kiedy tak na nią patrzył, po jego twarzy przemknął cień.

- Chciałbym powiedzieć, że jest mi bardzo przykro...

- Ale byłoby to kłamstwo - dokończyła tak cicho, że ledwie zdołał usłyszeć. Milczeli chwilę, smakując ulotną, słodką woń róż i to poczucie żalu za wspólną przeszłością.

- Jak twoi rodzice? - Nigdy nie zrozumiała powodów nagłego, nocnego wyjazdu Marii i Antonia Martinezów. Ale wspominała ich zawsze mile.

- Są już na emeryturze - odparł krótko.

- A Olivia i Enrique? - Przyjaźniła się z jego młodszą siostrą, a za jego małym braciszkiem wprost przepadała.

- Olivia wyszła za męża. Ma dwójkę dzieci.

- Chłopców czy dziewczynki? - boleśnie uświadomiła sobie, że Tony nigdy nawet nie domyślał się, że ma rodzeństwo.

- Chłopca i dziewczynkę - uśmiechnął się. Pomyślała ze smutkiem, nie pierwszy już raz, jakimż byłby wspaniałym ojcem.

- A Enrique już w przyszłym miesiącu kończy studia.

Teraz pozostało już tylko spytać o niego samego. Od kiedy pojawił się na politycznej scenie San Antonio, jakieś pięć lat temu, pilnie śledziła jego karierę. Czytała wszystkie gazety, oglądała telewizję. Wiedziała, że - obdarzony naturą przekorną i zuchwałą, jak zresztą większość teksańskich polityków - uparcie i mądrze walczył o sprawiedliwość i równe szanse dla Latynosów. Wiedziała także i to, że straciłby cały kredyt zaufania i nigdy nie mógłby ubiegać się o fotel senatora, gdyby wyszło na jaw, iż latynoskie nadzieje lat dziewięćdziesiątych reprezentuje ktoś, kto żył w pozamałżeńskim związku.

Rafe odwrócił się, jego spojrzenie pobiegło w ślad za widocznym jeszcze, ale oddalającym się szybko Tonym.

- Czy to twój syn?

Wiele kosztowało ją, by opanować nagłą panikę.

- Tak.

- Wspaniale wygląda.

- Dzięki.

Przez długą chwilę nie spuszczał z oka odległej już teraz trójki.

- Twój mąż musi być z niego bardzo dumny.

Odetchnęła z ulgą, gdy dwaj mężczyźni i chłopiec zniknęli w drzwiach domu.

- Webb nie jest moim mężem.

- O!?! - znów zwrócił na nią swe przenikliwe oczy, a jego brwi lekko się uniosły.

- Ale bardzo chciałby nim zostać - wiedziała, że stąpa po niebezpiecznym gruncie, lecz nie mogła się powstrzymać.

Gniewne wspomnienie zdrady, której się dopuścił, ogarnęło jej serce i wywołało chęć odwetu.

Aż cofnął się lekko; wiedziała, że go zraniła. Odciął się jednak natychmiast:

- Jesteś rozwiedziona?

Jeannie wyciągnęła rękę, miała nadzieję, że zrozumiał, iż czas już przerwać.

- Dziękuję, że przyszedłeś.

- Opowiedz mi o twoim mężu - zagadnął ją, ignorując tę jawną odprawę.

- O moim mężu? - Zaskoczył ją. Powinna była pamiętać, że jest prawnikiem i że zna sztukę uników.

- O tym, z którym uciekłaś - starał się jej przypomnieć.

- Uciekłam? - Potrząsnęła głową, zdumiona. - Kto ci powiedział, że uciekłam? W jej głosie zabrzmiała skryta pasja.

- Mam swoje źródła...

- Gratuluję - powróciła do grzecznego tonu, dławiąc w sobie gwałtowną chęć wykrzyczenia mu w twarz, że te jego „źródła” to albo wierutni kłamcy, albo ludzie zgoła niepoczytalni. Ale jeśli by to zrobiła, musiałyby powiedzieć mu i resztę. A tego akurat zdecydowanie nie chciała.

- Jak go poznałaś?

- Cóż, niech ci powiedzą twoje źródła - zmroziła go swą ironią.

- Czemu nie nosisz jego nazwiska?

- Czy to przesłuchanie? - Jaennie zmusiła się do słodkiego uśmiechu.

- To ja zadałem pytanie.

- A ja nie muszę na nie odpowiadać.

- Opuścił cię, albo może... - zmrużył oczy, myśląc głośno.

Z jej źrenic strzeliły gniewne błyskawice.

- To nie twój cholerny interes!

- A, rzeczywiście - zgodził się niechętnie.

- Cieszę się, że o tym wiesz.
- Tak, masz rację. Co było, minęło.

Owszem - tyle, że nie minęło. Przeszłość żyła nadal, oddychała, śmiała się i płakała, biegała i skakała - w chłopcu, który niedługo skończy dziesięć lat. Wiedziała o tym aż nazbyt dobrze i dlatego skłamała:

- Tak jest. Co było, minęło.
- A co do przyszłości... - zaczął.

Nie dała mu skończyć. Odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. Nie dał jej odejść daleko. Złapał ją za łokieć i silnym szarpnięciem zwrócił ku sobie. Przez jedwab rękawa czuła bolesny uścisk jego palców. Wyrwała się. Jej skóra delikatnie pulsowała, jakby pamiętała ten dotyk.

- Czy już ustaliłaś datę? - rzucił pytanie tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Datę? - powtórzyła jak echo, nic nie rozumiejąc.

Jego usta wykrzywiły się, ale nie był to uśmiech. Poczowała mrowienie w krzyżu.

- Datę ślubu.

- Nie, jeszcze nie! - te słowa znalazły się natychmiast, cóż, że zaraz potem ugryzła się w język. Podniosła więc głowę i głosem kruchym jak sople lodu powiedziała: - Ale oczywiście będę pamiętać o tym, żeby cię zaprosić.

- Jak chcesz - odparował, rzucając wyzywające spojrzenie.

Zawód prawnika powinien go do tego przygotować. Czasem dobro sprawy wymagało całkowitego wyciszenia własnych emocji i skupionego, logicznego myślenia. Ale logika na nic się nie zdała wobec tych gniewnych szarych oczu i białej, gładkiej jak atlas skóry. Chłodny - gdy trzeba - umysł teraz go zawiódł. Jak zauroczony patrzył na pełne, zmysłowe usta, które kiedyś dawały mu tyle rozkoszy, a później przyniosły tak wiele bólu.

Jeannie stała długą chwilę, a Rafe błędził po niej nieobecny spojrzeniem. Wreszcie dziewczyna zrobiła niepewnie krok w tył i rzekła niezręcznie:

- Chyba już pójde do moich gości.

- Zdejmij kapelusz - powiedział z prawdziwie złowrogą słodyczą. Była pewna, że się przesłyszała.

Postąpił ku niej i zmusił ją, by odchyliła głowę do tyłu. Jeannie zamarła. Twarz Rafe'a była tak blisko, że niemal jej dotykała. Leśny, gęsty zapach kus - kus emanował z jego gorącej skóry. Serce, to samo serce, które jedenaście lat temu na widok tego mężczyzny biło gwałtownie, znów zaczęło walić jak młotem. Niebieskie jak niebo oczy nachylały się nad nią i widziała w nich tamto pożądanie. Czuła, jak w jej żyłach wrze adrenalina, jak ożywia jej zmysły. Pociąga ją, mimo tylu lat rozłąki, jego męski zapach, jego iście dionizyjski wigor. Odsunęła się, jej usta rozchyliły się w skardze - lecz pozostały nieme.

- Chcę zobaczyć, czy twoje włosy ciągle lśnią słońcem.

W głosie Rafe'a czuć było doskonale walkę jedenastu lat tęsknoty z tyłomaż - obawy. W tej chwili - obawy przed samym sobą, nie przed nią. Czuła dreszcze rozkosznego napięcia, przebiegające jej ciało.

- Lepiej zostawić pamięci niektóre rzeczy - powiedziała gasnącym głosem.

- Nie, nie to - wycedził, sunąc ręką po jej plecach, aż nagle przycisnął do swej piersi owo wezbrane pragnienie, którym w tej chwili była.

- Szczególnie to! - zawołała, zdecydowana oprzeć mu się, chociaż jego bliskość, ciepło i siła budziły w niej uśpioną latami namiętność. Próbowwała się uwolnić, lecz trzymał ją mocno. Zasłoniła się rękami, bodąc nadgarstkami jego wypukły, muskularny tors. Rafe nie drgnął nawet. Zdała sobie w końcu sprawę, że góruje nad nią siłą, postanowiła więc

zmienić taktykę. Znacząco powiodła wzrokiem dookoła i podniosła ku niemu oczy, błagając o rozsądek.

- Szczególnie tu - powiedziała miękko.

- A gdzie będzie lepiej? - mruknął. Jego usta odnalazły ją w pocałunku będącym radością życia, radością powrotu. Język przesunął się delikatnie po jej wargach, by za chwilę śmieiej już zagościć pomiędzy nimi. Drobnymi muśnięciami i spiralnymi ruchami obwodził ich pełny zarys. Nie panując nad rozkoszą, jaką wzbudzał swymi pieściami, rozchyliła usta i dała zakosztować własnej, słodkiej odpowiedzi. Jej opór rozplątał się w nagłym, zmysłowym upuście tęsknoty, Zarzuciła mu ręce na szyję i poddała się głodnym pocałunkom. Rafe, podtrzymując dziewczynę ramieniem, przechylił ją do tyłu. Zsunięty kapelusz uwolnił włosy, które wspaniałą kaskadą rozsypały się na jej ramionach. Serce Jeannie odezwało się szybkim, mocno modulowanym rytmem, gdy pieściła językiem jego usta. Ich ciała znów rozkoszowały się znajomym poczuciem bliskości, twardym naciskiem męskiego torsu na kobiecą obfitość i miękką sprężystość piersi. Pieśń miłosna, jaką razem tworzyły, po długim interludium wróciła do pełni i doskonałości ritornelowego tutti.

- Pamięć nigdy mi dobrze nie służyła - wymruczał Rafe. Podniósł głowę i próbował przygłodzić niesforny kosmyk włosów nad jej uchem.

Lecz Jeannie pamięć służyła aż nazbyt dobrze. Miała syna, a wymagania Tony'ego miały pierwszeństwo przed jej przelotnymi nastrojami. Poza tym był przecież jeszcze Webb Bishop. Jeden z ostatnich z odchodzącej już rasy: zawsze mogła na nim polegać, gdy robiło się jej nieznośnie ciężko. Wiedziała, że siedział teraz w domu i czekał na to jedno jedyne przychylnie słowo, mogące uczynić go szczęśliwym przez resztę jego dni.

Zła na siebie za to podniecenie, które ją zdradziło, odtrąciła gładząc jej włosy rękę i wyrwała się z objęć Rafe'a. Szybko podniosła kapelusz, otrzepała i wcisnęła na głowę. Jej oczy pociemniały bólem, ale musiała, musiała to powiedzieć.

- Odejdź, Rafe.

- Jeszcze nie skończyliśmy, Jeannie.

- Przeciwnie - gwałtownie potrząsnęła głową. - Skończyliśmy jedenaście lat temu.

- Sądząc po tym, jak mnie całowałaś - powiedział miękko - dopiero zaczęliśmy.

- Nie uda ci się oszukać mnie tak łatwo, jak oszukałeś tę młodą dziewczynę o naiwnych oczach, którą porzuciłeś.

Zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów. Zmieszała się na myśl, że może jeszcze znać po niej niedawny wybuch namiętności.

- Wyrosłaś na wspaniałą, piękną kobietę - powiedział.

- Tak jest, zmieniałam się - parsknęła wzburzona. Wiedziała, że czas wprawdzie zabił rany, ale blizny pozostają. - Zmieniły się też moje zasady.

- Są rzeczy, które nie zmieniają się nigdy.

- Czemu musiałeś tu wrócić? - spytała z zadumą, ale w gruncie rzeczy naiwnie, jakby miała osiemnaście lat.

- Musiałem się z tobą zobaczyć - zacisnął zęby, aż gładko wygolona skóra napięła się na szczęce. - Musiałem cię wreszcie zapytać.

- O co?

- O tego, którego poślubiłaś. Zesztywniała natychmiast.

- A co chciałeś wiedzieć? Wykrzywił usta w cynicznym uśmiechu.

- Chciałem wiedzieć, jaki to facet mógł sprawić, że tak szybko o mnie zapomniałaś.

- Och... - z trudem przełknęła ślinę, gardło miała nieznośnie suche.

- Pierwszy raz, kiedy dowiedziałem się, że uciekłaś...

- Kto u licha mówił ci, że uciekłam? - raz już go o to pytała.

- A cóż to teraz za różnica?

- Rzeczywiście, żadna, jeśli tak sobie życzysz. - Mimo to wiele by dała, żeby wiedzieć, kto rozpuszczał tak wstrętne kłamstwa.

- Uwierz mi, że o mało nie straciłem rozumu. - Dalej krzywił usta gorzko, drwiąco. - Albo gryzłem się, że nie kazałem Wielkiemu Tomowi iść w cholere, albo gratulowałem sobie, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności pozbyłem się dziewczyny, która okazała się tak interesowna. Ale naprawdę... - jego wzrok zdradzał, że to wspomnienie jest zbyt bolesne, by o nim tak zwyczajnie mówić. - Ale naprawdę to odchodziłem od zmysłów, wiedząc, że jest ktoś, kto cię dostał, kto cię ma wyłącznie dla siebie.

Słowa same cisnęły się jej na usta. Pod wpływem tego wyznania Jeannie o mały włos nie wygarnęła mu prawdy. Ale to, co powiedział, nic jeszcze nie znaczyło. Chciała, nie, musiała słuchać go dalej.

- W końcu uspokoiłem się. Pomyślałem, że co się stało, to się nie odstanie. - Był teraz pragmatyczny. - No bo spójrzmy prawdzie w oczy. Nie byłem najlepszą partią. Co prawda skończyłem studia, ale na ukończenie prawa w żaden sposób nie mogłem zarobić pracą na ranczo. Zdałem sobie sprawę, że twój nowy mąż prawdopodobnie mógł dać ci więcej, niż to, na co mnie byłoby stać. Ale nie mogłem pozbyć się niektórych myśli. Na przykład tej, czy on dba o ciebie, czy traktuje cię tak, jak na to zasługujesz... tak, jak ja bym to robił.

Jeannie odwróciła się, jej jedwabiste włosy zatoczyły w powietrzu półkole i opadły na ramiona. Nie chciała, żeby się domyślał, jak wielkie robił na niej wrażenie. Nie chciała, żeby

widział jej twarz, kiedy go o to zapyta. Jej głos był tylko trochę głośniejszy od szeptu:

- Dlaczego ode mnie odszedłeś?

Rafe nie odpowiedział natychmiast. Nie dlatego, że nie chciał, ale dlatego, że nie wiedział jak zacząć. Przyszedł tu dziś, by ostatecznie pogodzić się z przeszłością, a przekonał się, że czas zatoczył właśnie pełne koło. Całymi latami żałował, iż w ogóle dane mu było spojrzeć na tę dziewczynę. Teraz zdał sobie sprawę, że pragnie kobiety, którą się stała. Ale aby ją osiąść...

- To długa historia - odezwał się w końcu. - Ani tu miejsce, ani czas na nią. Serce zabiło jej mocniej, gdy poczuła jego dłoń na łokciu. Rafe ujął ramię dziewczyny i ruszył w stronę kutej w żelazie cmentarnej bramy.

- Co robisz?

- Odprowadzę cię do domu.

- Ale... - zachwiała się, oszołomiona. Przystanęli. Podtrzymał ją jeszcze bardziej zdecydowanie.

- Słuchaj, musimy porozmawiać.

- Dziś naprawdę nie znajdę na to czasu - potrząsnęła głową w słabym proteście, zdumiona prędkością, z jaką wszystko się potoczyło.

- Daj mi tylko dziesięć minut - poprosił swym pięknym, mocnym głosem, tak często wpływającym na werdykt sędziów.

Dziesięć minut?! Gdy ich kroki ponownie zachręściły na cmentarnej alejce, serce wyrywało się jej z piersi. Ależ dziesięć minut mogło ją całkowicie, nieodwracalnie zniszczyć!

Rozdział 3

- Gdzie jest Tony? - Jeannie zagadnęła Webba natychmiast po wejściu do domu. W jej głosie dało się wyczuć nutę niepokoju, którą Rafe przypisał matczynej trosce.

- Tony? Jest w kuchni - Webb naturalnie dłuższą już chwilę kręcił się koło wejścia - czekał na nią. Na widok gołej głowy, rozpuszczonych włosów i zaróżowionej twarzy dziewczyny jego brązowe oczy stały się niezwykle jasne. - Rusty obiecał mu, że pójda pojeździć, jak tylko skończy jeść.

Jeannie obracała w palcach kapelusz i bezwiednie oblizywała wargi. Czowała jeszcze na nich pocałunki Rafe'a i żywiła ukrytą, może i nie bezpodstawną obawę, że to po niej widać. W końcu jednak przystąpiła do prezentacji stojących naprzeciw siebie mężczyzn.

- Doktor Webb Bishop - powiedziała żywo. - Przedstawiam ci Rafe'a Martineza.

Rafe wyciągnął rękę, wymienili uściski, raz jeszcze wymawiając swoje nazwiska. Głos Webba brzmiał przy tym tak, jakby doktor siłą wydobywał go z gardła. Zmierzyli się wzrokiem jak potencjalni rywale. Rafe był wyższy i ciemniejszy niż Webb, lecz obaj byli najwyższej klasy profesjonalistami, najlepszymi w swojej dziedzinie. Zrodziło się między nimi namacalne niemal napięcie, szmer rozmów w tle stał się głośniejszy jak zimny północny wiatr, a oni, witając się jeszcze, ważyli swoje szanse.

Jeannie stała pomiędzy mężczyznami i patrzyła na ich ręce: tę ciemną, która kiedyś poznała najintymniejsze zakamarki jej ciała, i tę jaśniejszą, która dotykała jej dłoni tylko przy powitaniu. Nagle poczuła się tak, jakby zamieniła się w linę, którą ci dwaj przeciągają.

- Przepraszam - wyswobodziła się z kłopotliwej sytuacji najdelikatniej, jak tylko mogła. - Chciałabym zajrzeć do Tony'ego i odświeżyć się trochę, zanim pójde do gości.

Rafe i Webb opuścili ręce. Nadal zachowując się grzecznie i powściągliwie, jak jeden mąż zwrócili się ku niej.

- Porozmawiamy później - w głosie Rafe'a drżała napięta, tłumiona nuta. Zabrzmiało to prawie jak groźba.

- Dobrze - skinęła głową. Nie mogła zdobyć się, by spojrzeć na Webba. Jak tchórz wycofała się w zacisze kuchni i odetchnęła z ulgą na widok syna... syna Rafe'a.

Kuchnia, mieszcząca się na tyłach domu, ozdobiona była kwiecistymi tapetami w przyjemnych, kremowych, niebieskich i zielonych tonacjach. Jasna podłoga z szerokich, sosnowych desek lśniła matowo. Wielki stół na kozłach otaczały wygodne krzesła o wysokich oparciach. Jadło się przy nim z prawdziwą przyjemnością. Na dębowym kredensie, pod sufitem, stały rzędem metalowe puszkarki na herbatę, a pod jednym z okien znajdował się blat do zagniatania chlebowego ciasta. Wszystko to miało swoisty, nieco prowincjonalny urok i tworzyło atmosferę dostatku i zasobności.

Tony zmienił już swój ciemny garniturek i lakierowane buciki na zwykłe, domowe ubranie. Włożył też swą ulubioną, jaskrawoniebieską czapkę baseballową; gdyby tylko Jeannie na to pozwoliła, nosiłby ją dwadzieścia cztery godziny na dobę. Siedział po drugiej stronie stołu, ledwie widoczny zza wielkiej szklanicy mleka i talerza taco.

- Cześć, mamó - powitał ją z pełnymi ustami.

- Cześć, skarbie. - Położyła mu rękę na ramieniu i nachyliła się, całując dopiero co wyszorowany policzek. Znowu zdumiała ją wiosenna, kwitnąca świeżość jego skóry, rumianej i pokrytej zachwycającym, jasnym puszkem.

Wielki Tom miał szorstki sposób bycia, do wszystkich i wszystkiego odnosił się z chłodną rezerwą. Jego żona, Laurinda, prawem kontrastu była duszą każdego towarzystwa, szczególnie zaś lubiła dobre maniery i... dobre perfumy. Była jak delikatny, kruchy motyl, którego skrzydełka, niestety,

toczył rak. Gdy urodziła się Jeannie, miłość pomiędzy jej rodzicami należała już do przeszłości. Właściwie po dziś dzień dziewczyna nie mogła zrozumieć, co takiego złączyło tych dwoje. Jeśli kazano by jej zgadywać, powiedziałyby, że był to klasyczny przypadek przyciągania się skrajności. Lecz gdzieś po drodze ten magnetyzm serc ulotnił się. To samotność i wzajemny dystans sprawiły, że Jeannie czuła ciągłą potrzebę tulenia swego syna, obejmowania, mówienia do niego słów, które jej samej rzadko dane było słyszeć w dzieciństwie. Słów takich, jak te, które teraz wyszeptwała, całując jego pachnące, świeżo umyte włosy:

- Kocham cię.

Tony przełknął potężny kęs i powiedział:

- Ja też cię kocham.

Wiedziała, że nie będzie już dłużej siedział nad tą, jak ją nazywał, papką. Rwał się na powietrze; puściła go. Odwróciła się do kobiety, która od czasów Marii Martinez zajmowała się ich kuchnią i domem.

- Jak tam, Marta?

Marta Spencer była posepną, siwowłosą osobą. Nigdy nie wyszła za mąż i nie miała własnych dzieci. Rządziła swym kuchennym imperium, dzierżąc potężny pogrzebacz i masywną żelazną patelnię oraz pozostając w niezachwianym przekonaniu, że najlepszym lekarstwem na problemy tego świata jest dobre jedzenie. Gotowała już trzeci dzień z rzędu, organizując Wielkiemu Tomowi godne pożegnanie. Marta nigdy oczywiście nie widziała Rafe'a, ale Rusty musiał jej być co nieco szepnąć. Jasnobrązowe oczy mówiły to, co zaraz powiedziały usta:

- Jak na razie w porządku.

- Zrobię dla Rusty'ego spis cieląt - ogłosił podekscytowany Tony. Jak większość dzieci wychowanych na wsi, z radością zajmował się zwierzętami. - Będziemy

wiedzieć, co nam potrzeba, jak zacznie się w przyszłym tygodniu znakowanie.

- Świetnie - Jeannie uśmiechnęła się, widząc jego zapał. Wielki Tom wcześniej wziął się za wychowanie wnuka, przygotowując go do przejęcia Koła C. Uczył go, by każda, najmniejsza nawet praca, była wykonana należycie, wszczepiał w jego młode serce miłość do ziemi. To, że akurat w dzień pogrzebu Tony przejawiał taką gorliwość i ochotę do pracy, było najpiękniejszym chyba ukoronowaniem wysiłków dziadka.

- Młody człowieku, na krok się stąd nie ruszysz, jeśli nie skończysz jeść - wmieszała się Marta kategorycznym, lecz w gruncie rzeczy pełnym miłości tonem.

Tony jak wilk połknął resztę taco i sięgnął po szklanę z mlekiem. Opróżnił ją jednym haustem, po czym wierzchem dłoni bezskutecznie usiłował wytrzeć białe wąsy, jakie zostały na górnej wardze. Pospiesznie wstał od stołu i rzucił się do kuchennych drzwi.

- Na razie, muśku! - zawołał jeszcze przez ramię.

Zanim Jeannie zdążyła otworzyć usta, już pognął do stajni. Przechodził tę fazę rozwoju, w której chłopcy gonią dosłownie za wszystkim. Czasami, szczególnie pod koniec dnia, Jeannie czuła się jak żółw usiłujący dorównać zającowi.

W niemym zdumieniu pokręciła głową. Zagadnęła Martę:

- Czy mam coś zanieść do pokoju?

Starsza pani zaprzeczyła ruchem głowy i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Rusty zabrał już wszystko.

- Zawołaj mnie, kiedy trzeba będzie w czymś pomóc - powiedziała Jeannie i przecisnęła się przez wahadłowe drzwi do jadalni.

Stół został rozłożony na całą długość i zastawiony podwójnym rzędem nakryć i półmisków z jedzeniem. Mały,

przenośny barek stał w rogu pokoju, a lekkie, składane drzwi prowadzące na patio były uchylone, by goście mogli korzystać z ocienionych wielkimi parasolami stolików, ustawionych opodal pływackiego basenu.

Co do potraw - Marta naprawdę stanęła na wysokości zadania. Ale jedzenie było ostatnią rzeczą, o której teraz pomyślałaby Jeannie. Niespodziewane pojawienie się Rafe'a na pogrzebie, jego pocałunki i jej mimowolna odpowiedź, obawy, które wyraził na temat jej rzekomego męża... Wszystko zdarzyło się tak prędko! Musiała mieć chwilę czasu, musiała zostać sama, żeby to przemyśleć. Przyjęła jeszcze kilka wyrazów serdecznego żalu, nie mniej serdecznie zaprosiła do stołu - i niepostrzeżenie wymknęła się na górę, do sypialni.

Zatrzasnęła za sobą drzwi, ucinając natrętne brzęczenie dobiegających z dołu głosów. Zamknęła oczy. Znów miała osiemnaście lat, leżała w gorącą, sierpniową noc na łożu pod baldachimem i drżała na myśl o tym, co się stanie; czekała na lekkie, dźwięczne uderzenie kamyka w okienną szybę, czując, że kiedy wpadnie w szeroko otwarte ramiona Rafe'a, przekroczy niewidzialną linię, jaka dzieli dziewczynę od kobiety.

Od tamtych dni wiele się w tym pokoju zmieniło. Wieczny bałagan czyniony przez nastolatkę ustąpił miejsca starannie ułożonym rodzinnym pamiątkom, łoże z baldachimem zastąpiono innym, staroświeckim, z wiśniowego drewna. Ale głowa Jeannie pełna była wspomnień, tańczących przed oczami jak pyłki kurzu w ukośnych, padających przez okna promieniach słońca.

Odkładając kapelusz do wielkiego pudła, przypomniała sobie swą białą sukienkę, tak starannie wybraną na tę ich pierwszą noc. Filigranowe, wykwintne guziki na piersiach zapinała trzęsącymi się rękami, a Rafe tak zręcznie je później

rozpinał. A potem tak czule układał Jeannie na zalanej księżycową poświatą trawie i uczynił ją swoją...

Postanowiła otrząsnąć się z przeszłości, podeszła do toaletki, upięła włosy. Następnie wróciła do okna, z którego rozpościerał się widok na całe podwórze przed domem. Odsunęła zasłony. Wiatr podniósł tumany kurzu z wiodącej ku cmentarzowi alejki; przeszłość znów powróciła, cisnąc przed oczy dawne obrazy. Rafe siedział za kierownicą studebakera, którego przemalował na ciemnoniebieski kolor i którym jeździł do college'u. Słyszała, jak strzelił motorem - ta umiejętność stanowiła jego sekret - na znak, że wrócił, a potem zgasił silnik. Czowała mocny, męski zapach, czowała uścisk obejmujących ją silnych ramion, kiedy pólżąc na tylnym siedzeniu snuli plany na ten odległy dzień, w którym pokażą całemu światu ich wspaniałą miłość i pójda przez życie razem.

Jego męski urok, ostry jak piżmo, zaprzętał jej zmysły do tego stopnia, że stała się ślepa na wyrastające pomiędzy nimi bariery wyznania i różnice kulturowe. Była głucha na słowa Wielkiego Toma, który radził jej unikać „tego cholernego przyłizańca” i roztoczył przed nią wizję okropnej przyszłości. Potrafiła tylko przeżywać własne pożądanie. Wszystko, co robiła, składało się na jeden wielki krzyk: „kocham go!”. Martwiła się tylko tym, że w końcu ktoś musi ją przyłapać na powtarzających się nocnych wyprawach i miłosnych schadzkach. Zaryzykowałyaby wszystko, nawet gniew ojca, byle tylko być z Rafe'em.

Ale pewnej nocy na próżno czekała na umówiony sygnał. Fosforyzujące wskazówki stojącego przy łóżku zegara zapowiadały już świt, a ona wciąż czuwała. W końcu zrezygnowana zasnęła. Kiedy rano dowiedziała się, że odszedł, coś w niej umarło. Ale było jeszcze coś - coś, co żyło - tajemne, głęboko ukryte.

- Jeannie?

Odgłos energicznego pukania i stłumiony głos Webba raptownie przywróciły ją do rzeczywistości. Odwróciła się od okna w momencie, gdy otwierał drzwi. Ochłonęła w jednej chwili.

Webb rozejrzał się po pokoju, w którym ani on, ani Rafe nigdy nie byli. Turecki dywan z frędzlami na drewnianym parkiecie. Wiktoriański w stylu domek dla lalek, który znalazła na strychu i starannie odnowiła. Saszetka z bakelitowymi akcesoriami kosmetycznymi. Z jakiegoś niewiadomego powodu Jeannie denerwowało, że to on pierwszy widzi to tak drogie jej sercu dziedzictwo.

Pokiwał głową, chcąc dać do zrozumienia, że podoba się mu tak eklektyczny gust, a potem spojrzął na dziewczynę.

- Szukałem cię wszędzie.

- Przepraszam - leciutki rumieniec zabarwił jej policzki, jakby Webb swym wejściem przyłapał ją na robieniu czegoś nieprzyzwoitego. - Musiałam na chwilę uciec od tego zgiełku i tłoku.

- Rozumiem - uspokajał.

- Czy coś nie w porządku? - spytała, myśląc o Tonym.

- Nie, nie - uśmiechnął się tym swoim spokojnym uśmiechem. Jej obawy były niewczesne. - Chciałem się tylko pożegnać.

- Pożegnać? - zdziwiła się.

Webb klepnął malutki odbiornik radiowy, który stale nosił przy pasku i za pomocą którego komunikował się ze szpitalem. - Mam swoje obowiązki.

Jeannie nie chciała nawet myśleć, jaką ulgę jej to sprawi: aż do końca dnia nie będzie już dochodzić do tych kłopotliwych sytuacji, w których zmuszona była lawirować pomiędzy nim a Rafe'em. Nerwy miała napięte jak postronki.

- Chodź, odprowadzę cię. - Ułożyła usta w uśmiech i podeszła do doktora, ujmując go pod ramię. W drzwiach

frontowych chwycił jej ręce w swe ciepłe, nieco wilgotne dłonie i patrzył na nią wzrokiem, w którym dostrzegła cień rozpacz.

- Nie wypadało mi mówić tego, gdy Wielki Tom leżał chory, ale teraz już... Jeannie, ja cię kocham.

- Och, Webb... - powiedziała miękko; jego wyznanie wstrząsnęło nią, mimo iż wiedziała, że do niego dojdzie i że łatwo może złamać serce tego mężczyzny.

Puścił jej dłonie i objął ją.

- Będę dla ciebie dobry. Będę traktował Tony'ego jak własnego syna. Daję ci słowo.

Nagle zdała sobie sprawę, że oboje toną: on - żywiąc nieziszczalne nadzieje, i ona - bojąc się okazać swe prawdziwe uczucia. Nie miała pojęcia, jak ocalić choćby jedno z nich.

Webb nachylił się nad nią i pocałował z namiętnością, którą Jeannie chciała i jego obdarzyć. Cóż, jednak...

- Zadzwoń do ciebie - zapowiedział; ciężko dyszał, gdy podnosił głowę.

- Tak, zadzwoń. - Jej oddech był spokojny, jakby zbudziła się właśnie z przyjemnego snu.

Zanim jeszcze zdążyła zamknąć za doktorem drzwi, stanął przy niej Rusty. Był bardzo zmartwiony. Pełnym niepokoju, łamiącym się głosem spytał ją o to, o co jeszcze na górze zagadnęła Webba:

- Gdzie jest Tony?

Do biura Wielkiego Toma dostać się można było przez tylne wejście od strony ganku lub przez niewielkie drzwi, prowadzące z pokoju stołowego. Podczas stypy Rafe zaledwie tu i ówdzie rzucił słówko - na więcej doprawdy nie miał głowy. Ze szklanką „krwawej Mary” w ręku, w której zresztą tylko umoczył usta, zajrzał do przyległego gabinetu.

Cały środek pokoju zajmowało wielkie, stuletnie biurko, rzeźbione w drewnie i zdobione masywnymi, mosiężnymi okuciami. Ściany pomieszczenia wyłożone były orzechową boazerią; przy jednej z nich, naprzeciw wejścia, stała szafka na karabiny. Wypolerowane, lśniące lufy widoczne były przez przeszkłone, zamknięte na klucz drzwiczki. W tym zacisznym wnętrzu było jeszcze coś, co Rafe uchwycił natychmiast: wspomnienie brzemiennego w skutki spotkania z Wielkim Tomem. Spotkania sprzed wielu lat, powracającego teraz dawnym echem w panującej tu ciszy.

- Usiądź, synu. - Ranczer podniósł wzrok znad grubej książki rachunkowej. Uśmiechnął się szczerze, zapraszająco i ruchem głowy wskazał jeden z obitych skórą foteli, zarezerwowanych wyłącznie dla serdecznych przyjaciół.

Instykt ostrzegł Rafe'a, że szykuje się coś złego. Na własne uszy słyszał przecież, jak tamten powiedział przed chwilą: „synu”. Wystarczająco dziwne było już to, że został wezwany do tego świętego, niedostępnego miejsca. Przez sześć lat, które Rafe przepracował na ranczo, Wielki Tom nigdy nie zwracał się do niego inaczej, jak „chłopcze”.

- Postoję - powiedział grzecznie. Wolał, by nieszczęście spadło na niego, gdy będzie wyprostowany.

Wielki Tom wzruszył ramionami, co znaczyło: jak sobie chcesz. Zamknął księgę i rzekł bez ogródek:

- Do dwóch rzeczy nigdy nie wtrącaj się, chłopcze. Po pierwsze, do tego, co mówi starszy od ciebie, a po drugie, do mojej córki.

A więc odkrył ich związek! Rafe doskonale wiedział, że bogaty ranczer użyje całej mocy swego złota, skrzyknie wszystkich gotowych mu służyć, poruszy wszystkie siły - byle tylko nie dopuścić do małżeństwa swojej córki z synem bezrobotnego imigranta.

- Kocham Jeannie - Rafe powiedział to głośno i pewnie. Był nadzwyczaj spięty, w żyłach grała mu krew.

- Tak, miłość wszystko wyrówna - zadrwił Wielki Tom. Z nonszalancją sięgnął do srebrnego pudełka po jedno ze swoich specjalnie preparowanych cygar.

Rafe z przestraczem pomyślał nagle, że może wcale nie chodzi o Jeannie. Kochał ją z całego serca, ale nie mógł znieść ukrywania tej miłości przed otoczeniem. Było to coś poniżającego: jakby kryjąc się przyznawali, że to, co ich łączy, jest czymś złym i wstydlwym.

Ale też wszystko się w nim przewracało od tego ciągłego lekceważenia, od traktowania go jak czegoś gorszego niż człowiek - tylko dlatego, że był Latynosem. Nie mógł znieść przymilnej grzeczności swoich rodziców, ich płaszczenia się przed białym - zwłaszcza przed tym białym.

Atmosfera w pokoju stała się nieznośna: jak siarczany wyziew zapalniczki zapalającej cygaro, jak bezruch w powietrzu, zapowiadający tornado, jak napięcie przed skokiem.

Nie spuszczać oka z Rafe'a, Wielki Tom rozsiadł się wygodnie w swoim, równie starym jak biurko, obrotowym fotelu i wetknął do ust cygaro. Potem, otoczony aromatyczną chmurą tytoniowego dymu, głosem pozornie łagodnym, lecz pełnym jakiegoś okrucieństwa, przystąpił do wyłuszczenia swych propozycji - raczej nie do odrzucenia.

- Przepraszam...?

Na dźwięk nieśmiałego, chłopięcego głosu, Rafe drgnął; wizja przeszłości rozwiła się. Otrząsnął się z gorzkiej zadumy, odwrócił się i w drzwiach ujrzał synka Jeannie, nieśmiało przestępującego z nogi na nogę. Spojrzał mu w twarz i znów odniósł wrażenie, że gdzieś już ją widział.

- Co się dzieje?

Chłopiec uśmiechnął się, onieśmielony.

- Zapomniałem czegoś.

- Czegoś stąd?

- Tak. Z biurka. - Zdjął kapelusz, niepewnie oblizując wargi. - Ale jeśli jest pan zajęty, to mogę przyjść później.

Rafe uśmiechnął się. Doskonale wiedział, że chłopak niechętnie odszedłby z pustymi rękami.

- Nie, nie, chodź i weź to sobie.

- Dzięki.

Właściwie poza tym dziwnym podobieństwem, które uderzyło go tam na cmentarzu, Rafe nie zaprzętał sobie myśli synem Jeannie. I choć nawet kilka razy słyszał już jego imię, ze wstydem pomyślał, że go zupełnie nie pamięta. Przyjrzał się baczniej chłopcu, przesuwając oczami po gęstej, niesfornej, ciemnej czuprynie i miękkim, lecz mocno już rysującym się konturze twarzy. Mały podszedł do biurka, otworzył szufladę i zaczął w niej grzebać.

- A czego zapomniałeś?

Zabełtał energicznie zawartością szklanki i wychylił ją jednym haustem. Dawka wódki z przyprawionym jalapeno sokiem pomidorowym natychmiast złagodziła przykry smak w ustach, wywołany wspomnieniem rozmowy z Wielkim Tomem.

- Tego - chłopiec wyciągnął z szuflady mały, składany nóż z rękojeścią wyłożoną kością słoniową. Malec miał drobną budowę; jego poważne, niebieskie oczy nasuwały Rafe'owi myśl o pewnym pokrewieństwie...

- Dziadek mówił, że jeśli coś by się stało, nóż będzie mój.

Chaos gorączkowych myśli nie pozwalał Rafe'owi skupić się na tym, co chłopak mówi. Szukał myślą niecierpliwie, gorączkowo, miał to coś na końcu języka, a jednak ciągle było to niejasne i nieuchwytnie.

- Jak się nazywasz?

- Tony Crane - chłopiec zamknął szufladę.

Crane! Serce Rafe'a zamarło w jakimś niezwykłym przeczuciu. Przypomnił sobie wykrętną odpowiedź Jeannie, gdy pytał ją, czemu nie została przy nazwisku swego męża. Nie, to niemożliwe, a poza tym...

- A ile masz lat?

- Dziesięć. - Uściślił zaraz: - No, prawie dziesięć.

- Kiedy masz urodziny?

- W kwietniu, dwudziestego piątego.

Rafe skamieniał. Z niezwykłą jasnością przypomniał sobie tamte gorące, letnie noce. Przypomnił sobie też, że Jeannie nie próbowała się bronić, była natomiast raczej zażenowana, gdy wspominał o jej ucieczkach.

Jego napięta, zastygła w bezruchu twarz musiała przestraszyć chłopca. Tyłem, powoli, wycofywał się ku drzwiom.

- No, muszę już iść...

Rafe machinalnie kiwnął głową. Nie spuszczał z oka tej z minuty na minutę bliższej mu twarzyczki.

Tony pamiętał mimo wszystko o zasadach, które matka wbijała mu do głowy. Już w drzwiach zatrzymał się i rzekł:

- Miło pana poznać, panie...?

- Martinez.

- Panie Martinez - powtórzył i wyszedł.

Klnąc w duchu Jeannie, a przede wszystkim tego starego sukinsyna, który nazywał siebie jej ojcem, Rafe wyszedł za chłopcem do stołowego. Zwolnił kroku; patrzył, jak Tony zatrzymał się przy stole, by sięgnąć po lukrowany wafel. W lustrze nad kredensem mignęło mu odbicie dwóch twarzy: własnej, o stężonych rysach i twardym, lodowato zimnym wzrokiem, i tej drugiej, dziecinnej jeszcze - krew z jego krwi.

Stał jak ogłuszony; prawda zwała się na niego strasznym, miażdżącym ciężarem. Serce zamierało Jeannie z trwogi, kiedy tak stała w korytarzu, u wejściowych drzwi, zaciskając

rękę na mosiężnej klamce. Patrzyła na Rusty'ego nieprzytomnie. - Myślałam, że Tony jest z tobą!

- No tak, bo był.

- I co się stało?

- Mój koń okulał, musiałem osiodłać drugiego. - Dobrze już sterany słomkowy stetson ocieniał spaloną słońcem twarz.

- Tony czekał obok, rozglądał się za kawałkiem drewna do strugania i potem...

Jeannie strzeliła palcami. - Wiem! Składany nóż Wielkiego Toma. To było oczywiste. Rusty pokręcił głową, niezadowolony z siebie.

- Cholera, powinienem był się domyśleć.

- Zobacz, czy nie wrócił do stajni - zakomenderowała. Odwróciła się i szybkim krokiem wyszła z hallu. - Ja zobaczę w gabinecie.

Zguba znalazła się w pokoju stołowym. Oczy Jeannie pociemniały ze wzruszenia, gdy zobaczyła Rafe'a stojącego przed Tonym.

Serce waliło jej w piersi. Ze srebrnej powierzchni lustra patrzyły na nią dwie twarze: dorosła oraz dziecięca - wierna miniaturka tej pierwszej...

Rozdział 4

„Mój syn!” - myślał Rafe i rozpierała go duma. Ale z drugiej strony dręczyła go bolesna świadomość, że został wystrychnięty na dudka. Tony był jego synem, ale ona nigdy mu tego nie powiedziała, nigdy nawet nie zamierzała mu powiedzieć. Jeannie niepewnie obserwowała twarz Rafe'a. Wyczytała w niej najpierw niedowierzanie, potem radosną pewność, która przerodziła się w potężny gniew. Zrobiło się jej przykro; to nie był może najlepszy moment na poznanie prawdy, ale z drugiej strony przecież nareszcie owa prawda, tak długo skrywana, wyszła ostatecznie na jaw.

Oczy obojga: jego, sypiące lodowatymi iskrami gniewu, i jej, zamglone od gorących, wzbierających łez, spotkały się na mgnienie w zwierciadle. Ta krótka chwila wystarczyła, by drzenie i płomień przeszły jej ciało i duszę. Wzdrygnęła się pod miażdżącym, pełnym bolesnego wyrzutu wzrokiem Rafe'a. Zmieszana przeniosła spojrzenie na Tony'ego, potem znów na Rafe'a. Jej oczy błagały, by w obecności ich syna nie robił sceny; ledwo dostrzegalne kiwnięcie głowy powiedziało jej, że na razie wszystko pozostanie między nimi.

A więc miała jego milczące słowo. Lżej było już jej na sercu, kiedy podchodziła do stołu i kładła troskliwą, matczyną dłoń na ramieniu Tony'ego:

- Tu cię mam.

Odwrócił się. W ręku trzymał składany nóż i czapkę, drugą podnosił do ust wafel.

- A co?

- Rusty biega i szuka cię po całym domu - powiedziała z lekkim wyrzutem.

- Rety! Ale chyba się nie martwił? - Tony stropił się. - Ja tylko wróciłem po nóż dziadka.

- I po ciastka, co? - spytała bez gniewu. Tony rozpromienił się. Wcisnął na głowę swą czapkę i powiedział:

- No to lecę do Rusty'ego, dobrze? Skinęła głową:

- Leć. Czeka na ciebie w stajni.

Do tej pory Rafe stał nieporuszony. Teraz odstawił pustą szklankę na stół i chwycił Jeannie za rękę, mocno zaciskając palce, by się mu nie wyrwała. W jednej chwili cała zeszywniała, ale nie odpychała go. Doskonale rozumiała, o co mu chodzi. Niech Tony idzie, ale ona musi zostać. Robiło jej się to zimno, to gorąco, bała się rozmowy, która niechybnie nastąpi, na którą wreszcie przyszedł czas.

- Nie chcesz wziąć trochę ciastek ze sobą? - mimo że Rafe mówił spokojnie, wyczuwała, że aż drży ód skrywanej pasji.

- Tak, tak, weź i dla Rusty'ego - zachęcała Jeannie, pilnie bacząc, by jej głos brzmiał równo i pogodnie.

Słyszając to Tony, zupełnie nieświadom narastającego napięcia, aż skoczył z zachwytem. Czym prędzej wsadził nóż do kieszeni, wetknął jedno ciastko do ust, a w ręce nabrał ich tyle, ile tylko to było możliwe.

- Nie, Rusty wyszedł przez drzwi od frontu - idącego do kuchni chłopca zawrócił głos Jeannie. Okręcił się więc na pięcie i popędził w przeciwnym kierunku.

Rafe jeszcze mocniej ścisnął Jeannie i ruszył z miejsca, ciągnąc ją za sobą. Potykała się na swoich wysokich obcasach, cicho protestowała - nic nie pomogło. Ani się nie zatrzymał, ani nie puszczał jej ręki, przeciwnie, jego uścisk zaczął być bolesny. Nie opierała się więc i wkrótce znaleźli się w kuchni.

Marta układała właśnie brudne naczynia do zmywarki. Spojrzała najpierw na straszną twarz Rafe'a, a potem na wykrzywione, wyrażające jednak zgodę na swój los, oblicze Jeannie. Zamknęła maszynę.

- Chyba pójdę pozbierać resztę brudnych talerzy. - Wychodząc zabrała ze sobą mały stolik na kółkach. Zatrzymała się jeszcze w drzwiach i ponownie zerknęła na

Jeannie. - W razie czego będę w zasięgu głosu. Gdybyś mnie potrzebowała...

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Rafe gwałtownie szarpnął dziewczynę. Niemal zderzyli się czołami. Był wściekły. Miał ściągniętą gniewem, zszarzałą twarz, płonące niebieskim ogniem oczy, zaciśnięte, nie znające litości usta. Biła z niego groźna siła i dzika przemoc. Podobny był teraz raczej do bestii niż do człowieka.

Pod jego miażdżącym spojrzeniem Jeannie kuliała się jak spłoszona kuropatwa. Nadrabiała jednak miną; patrzyła hardo i wyzywająco. Miała za sobą już tyle lat praktyki, że w istocie to dumne trzymanie się z podniesionym czołem, śmiałe wejrzenie prosto w oczy - niezależnie od tego, co naprawdę czuła - nie było dla niej niczym nowym. Nie, nie będzie haniebnie tchórzyc wobec jakiego bądź mężczyzny - choćby był to i ojciec Tony'ego.

- On jest moim synem, prawda? - pytanie zabrzmiało jak oskarżenie.

- On jest przede wszystkim moim snem! - odparła twardo.

- Cholera, nie udawaj, doskonale wiesz, o co mi chodzi - nie podnosił głosu i to może było najgorsze, ten mrozący krew w żyłach spokój. - Jestem jego ojcem.

- Nie. Jesteś dla niego nikim. - To były okrutne słowa. - Jesteś tylko nieznanym, który nie wiadomo skąd przyjechał na pogrzeb jego dziadka.

Aż rzucił w tył głowę, jakby strzeliła go w policzek. Nozdrza zadrgały mu wściekle, łapał gwałtownie oddech jak ogłuszony. Jego oczy w jednej chwili pociemniały, wyzierał z nich jakiś straszliwy, wewnętrzny ból.

Chciała wyciągnąć rękę, pogłodzić tę twardą, napiętą twarz, chciała złagodzić tężejące w niej cierpienie. Och, gdybyż mogła cofnąć te zbyt nienawistne słowa, rzucone tak pochopnie. Gdzież podziała się ich dawna miłość, ich

wzajemne obietnice, co stało się z życiem, które pragnęli wieść wspólnie?

- Rafe... - zaczęła. Ale było już za późno.

- Niech będzie przeklęty twój mąż - warknął. - Nie, ty w ogóle chyba nigdy nie miałaś męża.

- Przecież nigdy ci tego nie mówiłam - broniła się. - To ty przypuszczałeś, że...

- Ale chętnie pozwoliłaś mi w to wierzyć, co? - odepchnął jej rękę, jakby nie mógł znieść jej dotyku.

- Owszem - przyznała.

- Dlaczego?! - syczał przez zaciśnięte zęby.

- Bo się bałam.

- Ty się bałaś?! Czego?

Rozcierała obolały nadgarstek, bardziej by go zawstydzić niż z rzeczywistej potrzeby. Silne zaczerwienienia wyglądały na jej delikatnej, jasnej skórze nieomal jak otwarte rany.

Brutalność uścisku stalowych palców zawstydziła go. Stracił cały swój impet, był teraz niezadowolony, wyrzucał sobie brak opanowania.

- Czy... zraniłem cię? - spytał niepewnie, w przyływie męskiej troskliwości.

- Nie! - nie pozwoliła się dotknąć.

- Nieprawda. Pokaż.

- A co to za różnica?

Przez długą chwilę stali bez ruchu i patrzyli na siebie. Znowu budziła się w nich namiętność. Ona przecież nigdy nie umarła, łączyła ich na dobre i na złe. Był między nimi chłopiec, który miłość ich potwierdzał i pieczętował. Czy to uczucie może zniszczyć gorzka, bezlitosna walka o opiekę nad malcem?

- Jak mogłaś mi to zrobić? - przerwał milczenie Rafe.

- Może głośniej, no śmiało, krzycz!

- Odpowiedz mi, cholera jasna - zniżył głos do syczącego szeptu. - Jak mogłaś mi coś takiego zrobić?

- O tak, zaraz ci wszystko powiem, zaraz wypłaczę się na twoim ramieniu.

- Tylko mi tu znów nie zaczynaj!

- A kto kogo zostawił?! Po tym nieomal oskarżeniu wypowiedzianym bez ogródek zapadła bolesna cisza.

Cierpienie zapalało posępne błyski i w szarych, i w niebieskich oczach, kładło ponure cienie na jego i na jej twarzy. Kiedy Rafe odezwał się znowu, w jego głosie nie było żalu ani krzywdy. Choć czuli je oboje.

- Moje imię mogłaś znaleźć w każdej gazecie, co najmniej raz w tygodniu, od z górą pięciu lat.

- Tak? Winszuję.

Zignorował ten złośliwy komplement i chłodno mówił dalej: - Mogłaś mnie słyszeć zabierającego głos na dziesiątkach wielkich zjazdów, na setkach mniejszych.

- No i co? - przerwała. Nie wiedziała, do czego zmierzał.

- A to, że wiedziałaś, gdzie mnie szukać. Gdybyś tylko chciała, znalazłabyś mnie łatwo. - Mówiąc, gwałtownie gestykulował. - Mogłaś choć zadzwonić do mnie i powiedzieć, że jestem ojcem dziecka.

Znów mu przerwała:

- Próbowałam, próbowałam cię znaleźć zaraz potem, jak odszedłeś.

- Ciekawe - zadrwił.

- Dzwoniłam do wszystkich, którzy tylko przyszli mi na myśl: do twoich krewnych, do przyjaciół. Byłam nawet w dzielnicy hiszpańskiej, bo myślałam, że tam wróciliście. A potem... - przełknęła z trudem, wspomnienie tych strasznych dni było okrutnie realistyczne - potem poczułam obrzydzenie, musiałam, musiałam powiedzieć o wszystkim Wielkiemu Tomowi.

Rafe zatrząsł się od wzbierającej w nim, długo powstrzymywanej furii.

- A czy on ci powiedział, że zaproponował mi, że spłaci moją pożyczkę w college'u i zajmie się rachunkami za chesne, jeśli tylko dam słowo, że wyjadę i nigdy nie będę próbował się z tobą zobaczyć?

Cofnęła się, a potem wzburzona wybuchnęła:

- Nieprawda! Nie wierzę ci!

- A czy on ci powiedział - ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na jej okrzyk - że kiedy odrzuciłem tę propozycję, zagroził, że w takim razie doniesie na moją rodzinę urzędowi imigracyjnemu, jeśli się natychmiast nie wyniesiemy?

- Tak, ale ty urodziłeś się w San Antonio - wiedziała, że fakt ten automatycznie nadawał mu obywatelstwo amerykańskie.

- Olivia, Enrique i ja - owszem. Nawet bała się pytać.

- A twoi rodzice...? Niestety, potwierdził jej obawy:

- To Meksykanie, którzy w poszukiwaniu pracy nielegalnie przekroczyli granicę, a potem zostali tu i założyli rodzinę.

Jeannie z niedowierzaniem kręciła głową, jakby gestem tym mogła unieważnić wszystko, co powiedział.

Postąpił ku niej, mrużąc oczy drwiąco, groźnie.

- I jeszcze jedno. Czy powiedział ci, że kiedy zadzwoniłem na ranczo w miesiąc po naszym odjeździe, uraczył mnie nowiną, że uciekłaś?

- Nie - powiedziała cicho, miękko, ciągle kręcąc głową.

- Tak! - przeczył jej każdym swym ruchem.

- Ależ... - podjęła rozpaczliwy, ostatni już chyba wysiłek ratowania dobrego imienia ojca. - Ależ on mówił mi, że uczyni wszystko, by cię odszukać. Raz nawet powiedział, że porozumiał się z szeryfem, a ten na pewno cię sprowadzi.

Rafe roześmiał się głośno:

- Co? Z jego pieniędzmi? Znajomościami? Nie sądzisz, że potrafiłby mnie znaleźć na końcu świata, gdyby tylko chciał?

Nic nie mogła na to odpowiedzieć. W zapadłej ciszy nawet tykanie zegara było szyderstwem z jej naiwności. Jakżeż mogła być aż tak ślepa, by nie wziąć pod uwagę uprzedzeń ojca, uprzedzeń, które żywił przez całe życie? Jakżeż mogła być aż tak głupia, by sądzić, że usunąłby wszystkie przeszkody, aby pomóc jej znaleźć Rafe'a?

Och, gdyby tylko można było cofnąć czas!

- Pięć lat. Pięć lat temu mogłaś powiedzieć mi, że mam syna, a nie zrobiłaś tego! Bliska paniki, Jeannie podniosła ręce w pojednawczym geście.

- Posłuchaj mnie choć przez...

- Żebyś mogła uraczyć mnie jakimś nowym kłamstwem?

- Nigdy cię nie okłamałam!

- Nigdy nie powiedziałaś mi prawdy.

Ręce jej opadły. Wszystko, co usiłowała mu powiedzieć, traktował jako przyznanie się do winy. Nie chciała narażać się na jego szyderstwa, skoro sądził, że wszystko, co mówi to tylko tanie chwytły.

Ujął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała na niego. Błękit jego oczu, ten cudowny błękit rozświetlony jakimś wewnętrznym blaskiem zamigotał przez chwilę, zanim nakryły go ozdobione czarnymi rzęsami powieki. Na policzku, potem na ustach, poczuła drżący i wilgotny smak jego ust.

Oboje ogarnęło zawrotne poczucie deja vu, przypomnienie niezwykle silne, wręcz zmysłowe. Umysł nakazywał odtrącić Rafe'a, skoro nie mogli się ze sobą zgodzić, lecz serce wyzwalalo obrzydzenie, którym nie mogła się oprzeć: wspomnienie jego delikatnych rąk, słodko pieszczących jej pełne piersi o wezbranych aż do bólu, twardych guziczkach sutków, smuga gorąca, jaką pozostawiały na jej brzuchu jego dłonie, wolno

sunące w dół, aż po uda, gdzie twardy ucisk kciuka zasnuwał jej oczy i spychał ją na krawędź zapomnienia.

I oto teraz, kiedy tak stali spleceni ramionami, ciało Jeannie przeszywało i ogarniało gorące pożądanie.

Ten rozpalający płomień zdusił nagle Rafe:

- Dlaczego nie przyszedłaś do mnie? Dlaczego nie napisałaś ani słowa? Czemu nawet nie zadzwoniłaś?

Zła na siebie odepchnęła go, wyzwalając się z jego dłoni.

- Miałam swoje powody.

- Jakie?

- A uwierzyłbyś mi?

- Wystarczyłoby jedno spojrzenie na mego syna, a wiedziałbym, że mówisz prawdę.

Jej oczy błagały o zrozumienie.

- Nie, tego nie mogłam zrobić.

- To wszystko?

- Nie. Bałam się, że będziesz chciał odzyskać mnie kosztem Tony'ego. . - Co? W jaki sposób?

- Po prostu: mógłbyś złość, którą ja w tobie wywołałam, zwrócić przeciwko niemu.

- Sądziłaś, że zrobiłbym mu krzywdę? Ze wstydem kiwnęła głową.

- Tak. Wybuchnął gniewem:

- Przez pięć lat rozmyślnie ukrywałaś przede mną mojego własnego syna, a teraz stoisz tu i nawet nie drgnie ci powieka, gdy mi mówisz, że byłaś pewna, że go skrzywdzę. Jego - krew z mojej krwi?!

- A skąd miałam wiedzieć, co ci przyjdzie do głowy, jak się dowiesz? - wypaliła. Jego gwałtowność co prawda sprawiła, że wszystkie poprzednie obawy wydały się Jeannie głupie, ale i zrodziła nowy niepokój.

Rafe starał się opanować wzburzenie, głęboko oddychając.

- Co jeszcze kazało ci zapomnieć o moim istnieniu przez wszystkie te lata?

- Twoja kariera.

Zamilkł zaskoczony. Zaraz po ukończeniu szkoły prawniczej postanowił ubiegać się o fotel senatora stanu. Musiał mieć jednak solidną bazę, którą starał się sobie stworzyć wśród zamieszkujących dzielnicę hiszpańską Latynosów, tocząc z powodzeniem w lokalnych sądach walki o rozwój budownictwa mieszkaniowego i zwiększenie podatków ściąganych ze śródmiejskich dzielnic białych. A teraz nadszedł czas, by z kręgów społeczności latynoskiej wypłynąć na szerokie wody naprawdę wysokich sfer politycznych. Chciał zająć się projektami dotyczącymi publicznej edukacji i opieki zdrowotnej - tym, co obchodziło zarówno Latynosów, jak i białych - w skali całego stanu. I choć do wyborów pozostał jeszcze cały długi rok, Rafe już starał się organizować fundusze i przyciągać wielkie nazwiska, które wspomogą jego kampanię wyborczą.

To, co działo się w jego życiu prywatnym, łatwo mogło przysporzyć mu rozgłosu, niestety nie takiego, jakiego by sobie życzył.

Wiedział o tym doskonale. Czasem, myśląc o tytułach, które mogłyby się pojawić w gazetach, był zrozpaczony. Jeśli wszystko wyjdzie na jaw, prasa dosłownie pożre go żywcem!

Jeannie także o tym wiedziała.

- Tak, niektórzy tylko na to czekają - kiwnęła głową. Po chwili zaś dodała:

- A i dla Tony'ego nie będzie to łatwe.

Cóż, zdawał sobie z tego sprawę. Spojrzał na nią z wyrzutem:

- Można to było wyjaśnić wcześniej, nie robiąc hałasu. Mogłaś się ze mną skontaktować, skoro wiedziałaś, gdzie mnie szukać.

Powiedziała mu prawdę, miała już dość tego ciągłego owijania w bawełnę:

- Było już za późno. Zrobiłam się zbyt zgorzkniała, by walczyć.

- Ale ja miałem prawo wiedzieć.

- Jeśli o mnie chodzi, to nie, nie miałeś prawa. Huknęła pięścią w stół, aż podskoczyła.

- A kto do cholery pozwolił ci na osądzenie mnie, skazanie i wykonanie wyroku?! Na hałas w kuchni uchyliły się drzwi, ze stołowego zajrzała Marta. Jeannie uspokoiła ją ruchem głowy; starsza pani wycofała się bez słowa, zostawiając ich samych.

Rafe miotał się od ściany do ściany, jak schwytywany w klatkę tygrys, klnąc pod nosem i jęcząc na myśl o latach, które dla niego, jako ojca, były stracone. Głowił się usilnie, jak to wszystko naprawić i nikogo przy tym nie zranić.

Jeannie wodziła za nim wzrokiem. Znow zapragnęła przytulić jego głowę do swych piersi. Wszystko wołało w niej wielkim głosem o nową dla nich szansę. Och, gdybyż mogła odwrócić zło, które Wielki Tom im wyrządził...

Zerwała się z miejsca, chcąc podejść do Rafe'a, on właśnie robił obrót i w rezultacie wpadli na siebie. Cofnęła się, zawstydzona własną niezgrabnością.

- Jesteś zręczna jak ten twój stary dziad - warknął Rafe.

Zranił ją strasznie, aż skamieniała z bólu i oburzenia. Cóż, nie mogła go winić - wszak stało się to przez nią - a jednak poczuła się boleśnie dotknięta porównaniem z kimś, kto zdolny był do tak wstrętnych machinacji.

- To nieprawda, a przede wszystkim nie fair - wycedziła chłodno.

- Ha, nie miał własnego syna, więc zabrał mi mojego.

- On Tony'ego szczerze kochał.

- Myślałaś pewnie, że dam ci tylko buzi na do widzenia i...

- To ty mnie pocałowałaś!

- Dobrze, no to kwita. - W mgnieniu oka znalazł się przy niej, tak blisko, że przez cienki jedwab sukienki czuła każdą fałdkę jego spodni. - Wykorzystałaś mnie, to i ja wykorzystam ciebie.

Przerażenie rozwarło szeroko szare oczy Jeannie, gardło ścisnęła nagła emocja. Gdy ją całował, serce odezwało się w niej tak samo jak tam, przy świeżym grobie - poruszone gwałtownym, żadnym odwetu pocałunkiem.

Rafe chwycił ją za ramiona i silnie potrząsnął.

- Kiedy zamierzasz powiedzieć o nas Tony'emu? Chciała się wyrwać, lecz bezskutecznie.

- Wtedy, kiedy uznam, że będzie, mógł sobie z tym poradzić - odparła przytomnie.

- Jeśli myślisz, że choć jeden dzień dłużej będę żył z dala od mojego syna, seniorita Crane, to się głęboko mylisz.

W tym momencie Jeannie zdała sobie sprawę, że Rafe gotów jest wkroczyć na drogę prawa, aby odzyskać Tony'ego.

- Nie możesz tak po prostu, po dziesięciu latach, wejść nagle w jego życie!

- Mogę. Jestem jego ojcem - puścił ją nagle, aż się zachwiała. - Mam prawo!

- Nie, nie masz żadnych praw, nie w tym przypadku! - nie ustępowała. Zimne, błękitne oczy przewiercały ją na wylot.

- Uważaj, bo nim się o tym przekonasz, możesz stracić całe ranczo!

Ale Jeannie była teraz równie niebezpieczna i gwałtowna jak on. Walczyła przecież o swego syna.

- To ty uważaj. Prędzej poślę cię do piekła, niż pozwolę, żebyś zniszczył świat Tony'ego.

- Dobra - Rafe okręcił się na pięcie i wielkimi krokami przeciął kuchnię. W drzwiach odwrócił się jeszcze i syknął:
- W takim razie do zobaczenia w sądzie.

Rozdział 5

List polecony nadszedł trzy dni później. Jeannie dopiero co wróciła po odprowadzeniu Tony'ego do szkoły i zasiadła za biurkiem w gabinecie - teraz już jej gabinecie. Miała jeszcze do napisania kilka bilecików z podziękowaniami oraz kilka rachunków do zapłacenia. I właśnie wtedy usłyszała wjeżdżającą na podwórze przed domem pocztową ciężarówkę. Zmarszczyła brwi; wstała i podeszła do okna. Zabudowania Koła tworzyły półokrąg, zaś skrzynka pocztowa wisiała na ostatnim bungalowie, przy drodze. Tego dnia Jeannie wybrała już jej zawartość. Cóż to więc za nagła przesyłka i czemu w tak niezwykły sposób doręczana?

Przecucie nie pozwoliło jej złapać oddechu. Czym prędzej wybiegła przez frontowe drzwi, by pokwitować odbiór. Zanim rozdarła kremową kopertę, przez chwilę obracała ją w rękach, pustym wzrokiem gapiąc się na adres zwrotny, wydrukowany na odwrocie. W środku była pojedyncza, złożona na cztery kartka. Było to oficjalne żądanie Rafe'a umożliwienia mu, jako ojcu, odwiedzania dziecka. Serce Jeannie ścisnęła rozpacz. A więc zaczęło się. Niedługo pewnie spróbuje Tony'ego jej odebrać!

- Coś złego? - zainteresował się Rusty. Późno dziś zaczął ujeżdżanie. Przy śniadaniu skarżył się, że przez pół nocy nie dał mu spać „stary Artur”, jak nazywał swój chroniczny artretyzm. Czuł, że z każdym rokiem nogi ma coraz sztywniejsze, chód zaś coraz mniej sprężysty.

- Sam zobacz - Jeannie podała mu kartkę. Przyciskając palce obu rąk do skroni próbowała uciszyć dotkliwe, bolesne pulsowanie krwi, nie dające jej myśleć. Ona też nie spała dziś najlepiej. Ilekroć zaciskała powieki, wracały do niej, jak zmory, wspomnienia pocałunków Rafe'a i jego późniejszego, rzuconego na odchodnym terrible dictum.

Och, świetnie zdawała sobie sprawę, że Rafe miał na nią potężny wpływ. Wystarczyło, by tylko jej dotknął - a już cała płonęła, wystarczyło, by powiedział tylko jedno czułe słowo - a już gotowa była tarzać się u jego stóp. Ale na ile ta gorąca namiętność wynikała z prawdziwego uczucia, a na ile tylko ze wspomnień dawno minionych dni?...

Jeannie wiedziała też, że Rafe nienawidził rodziny Crane'ów. Trzeba jednak przyznać, że miał ku temu powody. To oni przepędzili go z rancza, to oni pozbawili go długich lat wspólnego życia z synem. Teraz mógł się nareszcie zemścić...

Zapadła cisza. Gniadosz Rusty'ego niecierpliwie grzebał kopytem.

W przyrodzie panowała już niepodzielnie wiosna. Sezon prac wiosennych na ranczo był w pełni. Sortowano bydło, znakowano cieleta, łapano i ujeżdżano żrebaki. Do tego dochodziło zajmowanie się Tonym oraz problemy związane z przejmowaniem spadku po Wielkim Tomie - Jeannie naprawdę nie miała dotąd czasu, by pogadać szczerze z Rustym o tym, czego się dowiedziała w dniu pogrzebu.

- Cały czas wiedziałeś, że Wielki Tom wyrzucił Rafe'a, prawda? - wyszeptała, gdy skończył czytać.

Zawahał się na moment.

- Nigdy nie przychodził do mnie i nic nie opowiadał. Ale wkrótce zacząłem się wszystkiego domyślać.

- Rusty, dlaczego? - wykrztusiła z trudem. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć. - Dlaczego on to zrobił?

Stary kowboj, zawsze oszczędny w słowach, odparł:

- Cóż, próbował cię chronić.

- A w rezultacie unieszczęśliwił mnie. I Tony'ego również.

- Myślał, że wystarczy, by Rafe wyjechał i będzie po wszystkim. Za sardonycznym uśmiechem kryła się cała jego gorycz.

- Ha, tak był zrozpaczony, że jedynym dziedzicem jest kobieta, że patrzył przez palce na latynoskie pochodzenie Tony'ego?

- Czy nie osądzasz go zbyt surowo? - Rusty nie chciał mówić źle o zmarłym.

- Surowo? - Jeannie daleka była od chęci zrozumienia postępowania ojca, a tym bardziej od przebaczenia mu. - Właściwie mam powody, żeby go nienawidzić.

- To nie nienawiść jest w tobie. To tylko żal. - Wypuścił z rąk wodze i wziął ją w ramiona. Objęli się mocno, jak najbliższe sobie istoty, zawsze - gdy trzeba - dodające sobie siły.

Pierwszego konia Jeannie dostała od Wielkiego Toma, ale to rudowłosy Rusty uczył ją jazdy, a kiedy spadła z siodła, to on ocierał jej łzy i przekonywał, żeby spróbowała jeszcze raz. To - Rusty uśmiechał się szeroko, dumny jak żaden ojciec, kiedy, jeszcze jako dziecko, wzięła udział w wyścigu z przeszkodami i wygrała go.

Jej matka, podobnie jak ona teraz, była dla niego wszystkim. Już po kilku miesiącach od chwili wynajęcia się do pracy na ranczo w charakterze zarządcy, Rusty gotów był dla Laurindy Crane, pięknej, jasnowłosej żony Wielkiego Toma, skoczyć w ogień. I niemal nie było dnia, by Laurinda nie wzywała go; załatwiał jej wszystkie sprawy, dla których jej mąż nie miał czasu albo nie starczało mu cierpliwości. Pewnego razu, wiele, wiele lat temu, gdy Wielki Tom pojechał na aukcję bydła, poprosiła Rusty'ego, żeby przewodniczył komitetowi organizacyjnemu największego lokalnego balu Bluebonnet. Podczas tradycyjnej zabawy przy wielkim ognisku z piekącym się na rożnie wołem pełnił obowiązki gospodarza. To było wydarzenie sezonu. Wielki Tom wrócił oczywiście na czas i towarzyszył żonie na balu, ale Jeannie nigdy nie mogła zapomnieć, z jakim zapałem i

ochotą Rusty kręcił się i pomagał matce i jak nie mógł od niej oderwać oczu.

Gdy Laurinda była już chora, liczyła na Rusty'ego bardziej jeszcze niż zawsze. Guz w jej piersi został rozpoznany jako złośliwy. I to Rusty, a nie Wielki Tom, siedział przy niej na werandzie w ciepły letni wieczór i trzymał ją za rękę, i tylko jemu miała odwagę głośno mówić o swym lęku przed śmiercią. Gdy kuracje napromieniowaniem całkowicie zniszczyły jej piękne, bujne włosy, to Rusty, nie Wielki Tom, mówił jej, że od tego, jak kobieta wygląda, ważniejsze jest to, jaka jest. A kiedy umarła i kładli ją do grobu, to Rusty, a nie Wielki Tom, wziął jej szlochającą córkę w ramiona i tulił ją - tak, jak tulił ją i teraz.

Jeannie wcisnęła twarz w ramię starego kowboja i płakała, pierwszy raz od pogrzebu matki. Jakże chciała, by ojciec kochał ją był tak, jak ten obcy, a przecież najbliższy jej człowiek. Płakała nad swymi zawiedzionymi nadziejami, nad niespełnionymi marzeniami. Płakała i nad sobą, zagubioną, z krwawiącym sercem, bezsilną.

- No już, już lepiej - szeptał Rusty, głaszcząc Jeannie po głowie. Wreszcie puścił ją i zapytał:

- Co teraz zrobisz?

- Nie wiem. - Włożyła list z powrotem do koperty, hardo podniosła głowę. - Jeśli Rafe uważa, że może bezkarnie zabrać mi Tony'ego, to się grubo myli. Niech tylko spróbuje. Wezmę najlepszego adwokata, jakiego tylko znajdę i policzę się z nim.

- Ha, jesteś prawdziwą Crane.

Rusty miał rację: zabrzmiało to bowiem jak groźba samego Wielkiego Toma. W żyłach Jeannie płynęła przecież jego krew. A poza tym - co miała robić? Siedzieć z założonymi rękami i spokojnie czekać, aż Rafe zniszczy ją w sądzie?

- Ja tylko chcę zatrzymać mojego syna - sama siebie utwierdzała w obronie.

- Twojego syna... i syna Rafe'a. Uciekła przed nim wzrokiem.

- A ty jak byś się czuła - ciągnął - gdybyś nagle się dowiedziała, że ktoś, kogo kochałaś, ukrywał przed tobą coś bardzo dla ciebie ważnego?

Spojrzała na Rusty'ego, bezradna. Chciało się jej wycić z bólu - ale co to zmieni? Nic, zupełnie nic.

- To co mam zrobić?

- Tego nie potrafię ci powiedzieć - rzekł z powagą. - Ale wiem jedno: dwa kłamstwa nie zrobią prawdy.

Powiedziawszy to, Rusty zawrócił konia i odszedł. Czy miał swój chroniczny artretyzm, czy nie - musiał pilnować roboty. Teraz, kiedy zabrakło Wielkiego Toma, a pracy w gospodarstwie było pełno - doszła konieczność uczenia i przygotowywania Tony'ego, by kiedyś, gdy dorośnie, mógł przejąć ranczo.

Jeannie jeszcze przez chwilę stała zamyślona, przygryzając wargę. A więc musi się zobaczyć z Rafe'em. Jeszcze dziś. To, co zrobił Wielki Tom im obojgu, było błędem, było wielką krzywdą. A teraz - trzeba wszystko, i to jak najszybciej, naprawić.

- Czym mogę służyć?

- Chciałabym się zobaczyć z panem Rafe Martinezem.

- Pan Martinez właśnie rozmawia z klientem.

Sekretarka mówiła z wyraźnym akcentem hiszpańskim. Jej nad wyraz regularna, prawie kanciasta twarz przypominała oblicza z fryzów Chichen Itza.

Może trzeba było najpierw zadzwonić? Jeannie tak się spieszyła, że o tym nie pomyślała. Przebrała się tylko, włosy spięła z tyłu w koński ogon i szybko wskoczyła do samochodu. No, ale skoro już tu jest... - machnęła ręką.

- Czy może mógłby poświęcić mi choć odrobinę czasu? Potrzebuję zaledwie kilku minut - powiedziała to tak, by jasne było, że jej sprawa jest naprawdę pilna.

- Zaraz, może uda mi się panią gdzieś wcisnąć - aztecka bogini poprawiła ciemne okulary w rogowej oprawie. Na jej biurku leżał opasły kalendarz spotkań. Zajrzała do niego i po chwili ze smutkiem pokręciła głową:

- Za pół godziny pan Martinez je lunch z dyrektorem firmy, a zaraz potem powinien być w sądzie.

Odwróciła kartkę i zastanowiła się. W końcu powiedziała żywo: - Ale będzie mi przyjemnie umówić panią na jutro - tu zerknęła na Jeannie pytająco - pani ...?

- Crane. Jeannie Crane.

Wrażenie musiało być piorunujące, skoro sekretarka aż otworzyła usta. To oczywiście ona pisała na maszynie list, który dyktował Rafe i który natychmiast wysłał. Wiedziała więc już teraz, co oznacza ta nagła, niespodziewana wizyta.

Jeannie czuła, że rumieniec zaczyna palić jej policzki. Pomogło jej doświadczenie: założyła ręce i przybrała zdecydowany wyraz twarzy.

- Czy mam poczekać?

- Tak, oczywiście, pani Crane. - Sekretarka ochłonęła już z pierwszego wrażenia. Wskazała kanapę i miękko wyściełane pufy.

- Czy napije się pani kawy?

- Nie, dziękuję. - Jeannie podeszła do fotela i usiadła. Pomyślała, że tu, gdzie słowo Rafe'a było prawem, będzie miała o wiele mniejsze szanse. Nic nie szkodzi. Szczęście Tony'ego wymagało, by rodzice zapomnieli o przeszłości i doszli do porozumienia poza sądem.

Aztecka piękność powróciła do pracy. Stuk maszyny, na której pisała, mieszał się z cicho sączącą się z radia muzyką.

Rafe pozostał wierny swoim korzeniom i umieścił biuro w zachodniej dzielnicy San Antonio, zamieszkałej głównie przez Latynosów. To tutaj jego ziomkowie chodzili do pracy i bawili się, to tutaj był ich odrębny, własny świat. Jadąc ulicami Jeannie raz jeszcze przeżyła ten jakże odległy już dzień, kiedy to błędziła wśród biednych, ciasnych domków w poszukiwaniu Rafe'a, by mu powiedzieć, że jest w ciąży. Wtedy wydawało się jej, że ta wielka dzielnica jest groźna i obca; teraz miała wrażenie, że jest prawie jej domem.

Z trudem znalazła na zatłoczonym poboczu wolne miejsce i zaparkowała forda. Czowała się naprawdę swojsko. Lekkim krokiem szła wzdłuż długiego, dwupiętrowego budynku z brunatnej cegły, w którym mieściło się biuro prawnicze Rafe'a.

W biurze ujął ją przyjemny, nawet subtelny wystrój wnętrza urządzonego w południowym stylu. Wiszące rośliny i grubaśne, gładkopiennie palmy wyrastały ze lśniących białych donic, obramując z obu stron wielkie, tafłowe okno. Wygodne meble i gruby, ręcznie tkany bawełniany kilim na podłodze nadawały pokojowi charakter ciepłego, przytulnego wnętrza, utrzymanego w płowych barwach pustyni. Na tym tle pyszniła się, umiejętnie rozplanowana, wspaniała kolekcja meksykańskiego garncarstwa, godna jakiegoś, wcale nie prowincjonalnego muzeum. Ściany zdobiły kopie grafik i słynnych murali Diego Rivery z ich żywą, narodową kolorystyką. Bieżące numery „Texas Monthly” i „Ombre” leżały na kamiennym blacie zgrabnego, zaopatrzonego w liczne półeczki stolika.

Zmuszona była czekać, jak się jej zdawało, całą wieczność, podczas gdy w rzeczywistości trwało to około piętnastu minut; nareszcie drzwi od gabinetu otworzyły się i ujrzała w nich Rafe'a.

Pojawił się w towarzystwie tegoż, wąsatego mężczyzny, który właśnie mówił, jak bezgranicznie jest wdzięczny za zgodę reprezentowania go w sądzie drogowym.

Jeannie szybciej zabiło serce. Rafe jeszcze jej nie zauważył. Wyglądał naprawdę świetnie: spokojna szarość garnituru, koszula w dyskretne prążki i krawat w tradycyjnym guście. Uważnie słuchał, pochylając lekko głowę i mrużąc błękitne oczy. Wreszcie mężczyźni uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie. Jeannie poczuła się teraz nieswojo: jednak niezbyt politycznym krokiem było przyjście tutaj bez uprzedniej zapowiedzi. Rafe mógł natychmiast odrzucić jej propozycje, mógł jej nawet nie dać dojść do słowa, zasłaniając się pilnymi terminami. A może roześmieje się jej w twarz? Cóż wtedy zrobi?

- Chętnie wypiszę panu zaraz jakąś drobną zaliczkę - głos tegoż wąsala wyrwał ją z ponurych rozmyślań. Teraz trzeba się wziąć w garść.

Rafe wzruszył ramionami.

- Nie, dziękuję. Wystarczy mi uścisk pańskiej dłoni.

Gruby klient wyszedł. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, odezwała się miedzianoskóra sekretarka:

- Panie Martinez, jest tu jeszcze ktoś, kto chciałby z panem porozmawiać. Na widok Jeannie oczy koloru nieba żywo błysnęły.

- Jezu, co ty tu robisz?

Opanowała nerwowy odruch dłoni wygladzających sprany drelich spódnicy.

- Muszę z tobą pomówić.

- Trochę na to późno, co? - powiedział zjadliwie.

- Nic podobnego. Nigdy nie jest za późno, gdy chodzi o Tony'ego - odparła spokojnie.

To zrobiło na nim wrażenie. Nie zaprzeczył - widocznie szukał słów. Schyliła się by podnieść torebkę i na mgnienie

oka dała mu podziwiać swoje smukłe białe udo, ukazane w rozcięciu spódnicy. Nie mógł tego widzieć, ale kiedy się prostowała, jej piersi nabrzmiwały pod obcisłym czerwonym wdziankiem wpuszczonym w spódnicę.

Gdy ku niemu podeszła, Rafe poczuł gwałtownie rosnące pożądanie. Poruszała się tak, jak pamiętał: śmiało uniesiona głowa, jasne wejrzenie, ręce ciasno splecione. Była tak kusząco pewna siebie, tak pociągającą, że pragnienie wciśnięcia się w nią, stopienia się z nią w jedno wzbudzało w ciele mężczyzny gorące, napięte drżenie. Ale Rafe nie zapomniał, że go zdradziła; jego namiętność jest daremna, jest właściwie złem, bo przyniesie jedynie dogłębną, przejmującą rozpacz.

Zatrzymała się przed nim i spojrzała w tę tak bardzo jej bliską twarz. Poczwała w sobie wielki strumień miłości - i klęski, jaką miłości tej zadał. Przyjmował ją chłodno, to prawda, ale mógł tym zniechęcić jedynie kogoś mało zdecydowanego. A ona zaszła już tak daleko, że szaleństwem byłoby się teraz wycofać.

- Czy możemy pomówić na osobności? - to była wręcz prośba.

- Jasne. W każdej chwili - odparł, znów nie bez drwiny.

Zapowiedział sekretarce, żeby wstrzymała wszystkie wizyty, po czym wprowadził Jeannie do gabinetu. Starannie zamknął drzwi. Przysiadł na biurku, machając jedną nogą, i, założywszy ręce na piersi, powiedział krótko:

- Proszę bardzo, mów.

Jeannie aż zatrzęsała się z oburzenia. Jakżeż mógł traktować ją aż tak nikczemnie, po chamsku; nawet nie prosił, by usiadła. Zresztą na pewno by odmówiła, była zbyt zdenerwowana, aby siedzieć. O, nie jego jednego perfidnie wykorzystał Wielki Tom! A ona przyszła tu przecież dla dobra ich syna.

To myśląc odłożyła gniew na bok. Starła się mówić normalnie.

- Dziś rano dostałam twój list.

- Wobec tego spodziewam się, że odezwie się do mnie twój adwokat. - Oczy Rafe'a były zimne, bez wyrazu.

- Nie.

- Oo?

- Ja nie chcę się z tobą spierać.

Z niedowierzaniem uniósł brwi. Bądź co bądź miał do czynienia z córką Wielkiego Toma.

- Skąd ta nagła zmiana?

- Nie chcę krzywdzić Tony'ego - odparła z emfazą.

- Czy pytał o mnie?

- Tak.

Cyniczny grymas znikł bez śladu, zamiast niego na brązowej twarzy pojawiła się nadzieja.

- Co mu powiedziałaś?

- Że byłeś bliskim przyjacielem Wielkiego Toma.

Zachnął się, już miał protestować, gdy pospieszyła z wyjaśnieniem:

- To tylko na razie. Myślę, że powinieneś spędzić z nim trochę czasu, żebyście się lepiej poznali. Potem powiemy mu, że jesteś jego ojcem.

Chwilę ważył jej pomysł. Trzeba przyznać, że nie był taki zły.

- Dobrze. Gdzie i kiedy?

- O, proszę bardzo, już wychodzi z ciebie prawnik - w głosie brzmiała dezaprobata, ale błysk jej głębokich, szarych oczu powiedział mu, że to tylko żarty.

- Cóż, każdy ma swoje wady - rzekł kokieteryjnie.

Uśmiechnęli się do siebie, pierwszy raz po jedenastu latach. I dla obojga ten uśmiech był jak miód.

- Hmm, rozumiem, że masz już jakiś plan?

Kiwnęła głową. Przypomniała sobie, że sekretarka odprawia w tej chwili wszystkich interesantów.

- Wiem, że jesteś zajęty, dlatego będę się streszczać.

Zaprzeczył ruchem głowy. Odwrócił się i wcisnął guzik wewnętrznego telefonu.

- Nie ma dla mnie nic ważniejszego od przyszłości naszego syna. Powiedział: „naszego syna"! Serce skoczyło jej do gardła, nie myślała, że

kiedykolwiek to usłyszy.

Rafe zalecił sekretarce, by odwołała dzisiejszy lunch i przeniosła spotkanie na jutro.

- A co mam powiedzieć, gdyby pan Quinones pytał o powód? - spytała sekretarka.

Rafe spojrzał na Jeannie; to, co powiedział do mikrofonu, wprawiło ją w drżenie:

- Proszę mu powiedzieć, że zmusiły mnie do tego pilne sprawy rodzinne.

Rozdział 6

- Czy ty wiesz, że po raz pierwszy w ogóle wychodzimy razem jawnie, w środku dnia?

Na pytanie Rafe'a Jeannie poczuła ukłucie bólu. A wiec kruche zawieszenie

broni pomiędzy nimi dobiegło końca. Nie było już mowy o rzeczowym, dość neutralnym tonie, o który tak się starała - ale to nie z jej winy. Wyszli z biura i za rogiem skręcili do mieszczącej się opodal małej meksykańskiej restauracyjki, którą Rafe często odwiedzał. Właściciele, małżeństwo w średnim wieku, nie tylko byli jego klientami, ale i zagorzałymi zwolennikami politycznymi. Po wylewnym powitaniu Rafe i Jeannie zasiedli przy zacisznym stoliku w kącie sali. Kelnerka szybko przyjęła zamówienie, po czym ulotniła się bezszelestnie.

Rafe czekał, aż Jeannie na te wstępne niewinności zareaguje, ale ona stanowczo nie miała zamiaru grzebać się w przeszłości. Westchnęła i rzekła:

- Och, jakżeż szybko się zapomina.

- Zapomina? - Zmarszczył brwi.

- Wiejski jarmark.

- A tak, świetnie go pamiętam - oczy mu rozbłysły, przesunął spojrzeniem po jej złotych, skąpanych w słońcu włosach, spojrzał w ciemnoszare oczy. Uśmiechnął się lekko, samymi kącikami ust.

- Ty i Olivia byłyście wtedy jeszcze czternastoletnimi szkrabami.

- Nie, nie. Ja miałam czternaście, a ona trzynaście lat.

- W każdym razie szkrabami.

- I żadna nie potrafiła prowadzić, więc namówiliśmy ciebie...

- Co? Raczej kazałaś mi, żebym was zabrał - teraz on ją poprawił.

- ... Prosiłyśmy, żebyś spróbował.
- Błagałyście, żebym rzucał piłkami do butelek po mleku.
- Ale wygrałeś. Dla niej śmieszna nadętą ropuchę, a dla mnie pluszowego misia.

- A później Olivia oddała ropuchę Enrique, a on dokładnie podarł ją na strzepy - Rafe prawie burknął.

- Tony spał z moim misiem do trzeciego roku życia.

Bystro spojrział jej w oczy. Dostrzegł w nich nagłe zdziwienie; jej własne słowa zaskoczyły ją nie mniej niż jego.

Jeannie szybko zaczęła się niby to za czymś rozglądać. Wrrr! Nie ugryzła się w porę. w język, palnęła, zanim pomyślała.

- Proszę uważać, są naprawdę gorące - kelnerka pojawiła się jak spod ziemi, przerywając kłopotliwą ciszę. Ostrożnie postawiła dwa talerze ze skwierczącymi chile rollenos z ryżem i fasolą. Napelniła szklankę Jeannie, Rafe'owi podała piwo i zostawiła ich samych.

- Mmmm ... - Jeannie wdzięczna jej była za zmianę tematu. Wzięła widelec i ostrożnie dziobnęła nadzianą serem papryczkę. - Wyglądają wspaniale.

Rafe nie zwracał uwagi na jedzenie.

- Ciekawe, co powiedziałyby Wielki Tom, gdyby zobaczył siedzących nas razem przy stole?

Była to aluzja do zasad jej ojca. Uważał on, że służba - w tym wypadku rodzina Martinezów - powinna jadać w oficynie, a nie w głównym budynku. W praktyce oznaczało to dla Marii konieczność gotowania dwóch różnych posiłków: jednego dla Crane'ów, drugiego dla swoich dzieci i męża. Często przynosiła do domu to, co ugotowała wcześniej rodzinie Wielkiego Toma, i tylko odgrzewała. Sprawiało to wrażenie, że Martinezowie jedzą resztki ze stołu Crane'ów. Tak przynajmniej uważał Rafe.

Jeannie przełknęła kęs i popiła herbatą.

- Wiesz, że w tych sprawach nie miałem nic do powiedzenia.

- Ale Rusty zawsze jadał z wami.

- Rusty nie miał nikogo, kto by dla niego gotował. Skrzywił usta w szyderczym grymasie.

- Ale za to jest biały.

Nie umiała na to odpowiedzieć. Palce Rafe'a głąskały oszronioną butelkę. Poczwała w sobie drzenie, ale nie miało ono nic wspólnego z rozkoszami podniebienia. Odłożyła widelec i odezwała się poirytowanym głosem:

- Słuchaj, dlaczego ciągle to robisz?

- Co takiego?

- Stale, prosto w oczy, wyrzucasz mi przeszłość!

- Mmmm ... Wyglądają wspaniale - zmienił temat, dokładnie tak samo, jak ona przed chwilą. Śmiało, bez śladu skrepowania, wodził oczami po dekolcie jej czerwonego wdzianka. Pod wpływem jego wzroku piersi Jeannie rozkwitły wyraźnymi pączkami, naprężając cienką bawełnę bluzki. Och, jakąż miał władzę nad nią! W obronnym geście Jeannie oparła łokcie na stole i zasłoniła się rękami..

- Naprawdę? - spytała z przekąsem.

- Wiesz o tym świetnie.

Znów się zmieszała. Rafe stracił z oszronionej butelki kropelkę wilgoci i, ciągle wpatrując się w Jeannie, głąskał krótką, pękatą szyjkę. Patrzyła na jego palce jak zahipnotyzowana. Poruszały się zmysłowo, leniwie, kreśląc na zaporowanym szkle małe kółka. Po chwili otrząsnęła się, gniewnie zacisnęła pięści i śmiało spojrzwała Rafe'owi w oczy. Nie, nie podda się za nic w świecie - postanowiła.

- Myślałam, że przyszliśmy tutaj omówić twoje spotkanie z Tonym - powiedziała prawie szorstko.

- Owszem - zgodził się. - Ale zanim o tym pomówimy, chcę jeszcze na chwilę wrócić do przeszłości.

- Mianowicie?

- Wielki Tom szczerze mnie nienawidził - Rafe zacisnął szczęki. - Chcę wiedzieć, jak zareagował, kiedy mu powiedziałaś, że nosisz moje dziecko.

Jeannie milczała chwilę, wreszcie powiedziała:

- Cóż, próbował mnie nakłonić do zabiegu.

Rafe cały się sprężył; na twarzy pojawił się gniew. Z niesmakiem odsunął talerz; jej także przeszła ochota na jedzenie.

- A ty oczywiście odmówiłaś - powiedział cichym, udęczonym głosem. - Tak, powiedziałam, że jest już zbyt późno.

- Co on na to?

- Chciał, żebym oddała dziecko do adopcji. Groził, że w przeciwnym razie mnie wydziedziczy.

Rafe aż zgrzytnął zębami. Żeby ojciec tak szantażował własną córkę!

- I ... gdzie się podziałaś?

- Pojechałam do Houston - westchnęła ciężko, w oczach miała łzy. - Mieszkałam u ciotki... młodszej siostry matki... a potem urodził się Tony.

Rafe poczuł dławienie w gardle. A więc musiała przeciwstawić się ojcu, musiała drogo opłacić swoją decyzję. Nie mógł się opanować, milczał długą chwilę. Gdy wreszcie mógł wydobyć z siebie głos, spytał:

- Dlaczego zmienił zdanie? Dlaczego pozwolił ci wrócić?

- Chyba zdał sobie w końcu sprawę, że dłużej już nie dam sobą rządzić. Zrozumiał, że jeśli pozostanie nieugięty, przegra, straci mnie na zawsze. - Oczy Jeannie zajaśniały dumnym blaskiem. - A poza tym Tony był najpiękniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek się urodziło.

- To oczywiście pogląd obiektywny. Parsknęła śmiechem.

- Oczywiście.

- Jest do mnie podobny - Rafe spoważniał.
- Jak dwie krople wody.
- Co czuł Wielki Tom, patrząc przez dziesięć lat, o każdej porze dnia i nocy, na moją twarz?

- Nie wiem. Nigdy go o to nie pytałam - Jeannie starannie dobierała słowa, by przypadkiem Rafe'a nie zranić. - Mówiąc szczerze, uważał, że w Tonym płynie krew Crane'ów, a nie Martinezów.

- I nie przeszkadzało mu na wpół latynoskie pochodzenie dziecka?

- Niechby tylko powiedziało słowo - Jeannie gniewnie strzeliła palcami - już by nas nie było. Świetnie o tym wiedział.

Rafe siedział do tej pory niezwykle spięty; teraz odprężył się z ulgą. Wyciągnął rękę i nakrył dłonią małą, szczupłą rączkę Jeannie. Nawet sobie nie wyobrażał, jak wiele musiała przez niego przejść. Wyrzucona przez ojca, zmuszona urodzić i opiekować się dzieckiem samotnie, zdana tylko na siebie. W porównaniu z tym, co przeżyła, jego własna, jakże trudna droga do sukcesu zdała mu się teraz dziecinnie prosta i łatwa.

Podniósł dłoń dziewczyny do ust i ucałował. Jeannie zacisnęła zęby. Nie chciała, by wyrwało się jej jakieś mimowolne westchnienie. Wargi Rafe'a były delikatne jak sobolowe futerko, ich ciepło przeszło jej rękę słodkim dreszczem. Rafe spojrział dziewczynie w oczy; to, co powiedział, zabrzmiało jak najpiękniejsza muzyka: - Za to, że dałaś życie mojemu synowi.

- Naszemu synowi.

- Tak, naszemu synowi.

Tyle rzeczy działo się wokół nich. Nad stołem unosił się gęsty, gorący aromat zapomnianych chile rollenos, z kuchni doleciał dźwięk spadającej na podłogę szklanki, wahadłowe drzwi skrzypiały bezustannie, w sali mieszały się ze sobą

angielskie i hiszpańskie słowa. Ale Jeannie i Rafe nic nie słyszeli; czuli się tak, jakby znów byli na letniej, zalanej księżycowym światłem łące i znów snuli wspólne plany na przyszłość.

- Czy coś nie w porządku z państwa lunchem? - niespodziewane pytanie kelnerki dotarło do nich jak z innego świata.

- Nnie - Jeannie ocknęła się i uwolniła dłoń. Spojrzała na zaniepokojoną twarz dziewczyny. - A co się stało?

- Prawie nie tknęliście państwo jedzenia.

- To moja wina - Rafe usprawiedliwiał się ze śmiechem. - Jak mogłaś jeść, skoro cały czas trzymam twoją rękę? Ach, te wspomnienia...

- A właśnie ... - odezwała się Jeannie, kiedy kelnerka odeszła już z talerzami, zostawiając na stole tylko drinki i rachunek. - Musieliście więc uciekać z ranczo. Gdzie pojechaliście?

- Do doliny Rio Grande.

- Nic dziwnego, że nie mogłam cię odnaleźć.

- Moi rodzice dostali pracę przy zbiorze późnych warzyw, grejpfrutów i pomarańczy. Olivia i Enrique poszli do szkoły, założonej w baraku specjalnie dla dzieci imigrantów.

- A ty? - szepnęła cicho. Na myśl o tym, do czego zmusiła Martinezów bigoteria Wielkiego Toma, ogarnął ją ogromny smutek.

- Przez kilka tygodni zbierałem pomidory i paprykę. Gdy już zarobiłem trochę pieniędzy, postanowiłem zadzwonić do ciebie i powiedzieć, że wracam. Niedaleko był automat telefoniczny. Pożegnałem wszystkich i poszedłem.

Wiedziała, co stało się później. Przymknęła powieki, próbując powstrzymać łzy. I pomyśleć, że jedna rozmowa telefoniczna tak wszystko skomplikowała...

- Powiedział mi, że uciekłaś - ciągnął Rafe nieswoim głosem. - Przez resztę sezonu pracowałem przy zbiorze owoców. A potem zapisałem się do szkoły prawniczej.

Spojrzała na niego.

- Czy twoim rodzicom udało się dostać zielone karty? - spytała

- Tak. Więcej nawet: obywatelstwo.

- Och, to wspaniale! Uśmiechnął się z dumą.

- Od tego czasu codziennie, jeśli tylko nie pada, ojciec wywiesza flagę, matka zaś czci 4 Lipca uroczystym ogniskiem, tak jak w Kole C.

Miło było to słyszeć, ale Jeannie interesował przede wszystkim los Rafe'a.

- Szkoła prawnicza jest bardzo droga - rzekła.

- Co ty powiesz.

- Skąd wzięłeś pieniądze na czesne?

- Hmm. Przez, dwa lata pracowałem jako technik, a później dostałem posadę pomocnika sędziego.

Wyobraziła sobie, jak po wykładach Rafe gna prosto do sądu.

- Jezu, kiedy ty znalazłeś czas na naukę?

- Cóż, zarwałem niejedną noc.

- I pewnie padałeś ze zmęczenia.

- No, ale w końcu się opłaciło.

- A stopnie?

- Przeważnie OK. Pod koniec studiów redagowałem gazetę „Przegląd prawniczy” - nie oparł się pokusie pochwalenia się.

To zrobiło na niej wrażenie.

- Na pewno zainteresowało się tobą jakieś wielkie biuro prawnicze?

- Owszem, dostałem kilka propozycji współpracy. Ale chyba byłem zbyt oryginalny, bo nie przypadłem do gustu.

- Jak to?

Rafe uśmiechnął się ze smutkiem.

- Nie chciałem być mniejszością zarobkową.

- A gdyby proponowali więcej?

- Nie. Niczego nie żałuję.

- Rozumiem. I teraz nosisz garnitury na miarę i jedwabne krawaty.

- Tak. Tylko w ten sposób mogę odegrać się za wszystko, co mnie poniżało w dzieciństwie. - Dopił piwo, ale butelki najwidoczniej nie zamierzał zostawiać. - Chodźmy.

- Co, zbierasz surowce wtórne?

- Potrzebuję jej w sądzie - odparł tajemniczo i odliczył należność za ten szczególny depozyt sądowy.

Wyszli na zewnątrz. Jeannie niespodzianie potknęła się, ale Rafe ją podtrzymał. Dziewczyna poczuła na ramieniu siłę i pewność jego chwytu.

- O, mój rycerz wznosi kopię - uśmiechnęła się.

- Pewnie. Będę się potykał w twoim imieniu konno lub pieszo - on też się śmiał. Puścił ją.

Poszli w kierunku biura. Ciągle czuła chwyt jego ręki.

- Mieszkaś gdzieś tu? - spytała. Rafe zatrzymał się. Byli już na miejscu.

- Kiedy kupiłem ten dom, nie miał piętra. Najpierw wszystko wypatroszyłem, a potem dobudowałem jedną kondygnację.

- Więc mieszkasz nad biurem? - spojrzała w górę.

Okna drugiego piętra zasłonięte były drewnianymi okiennicami.

Przed wejściem Rafe cofnął się, chcąc przepuścić Jeannie przodem. Gdy go mijała, podniósł rękę i żartobliwie pociągnął ją za koniuszek długiego, kręcącego się kosmyka jasnych włosów.

- Chcesz wejść na górę? - spytał. - Mam tam całą kolekcję butelek. Uchyliła się ze śmiechem. On też się roześmiał. Nagle zamilkł i zerknął na

dziewczynę spod oka. Sekretarka wyszła na lunch - a więc w biurze nie było nikogo. Spojrzeli na siebie złaknionymi oczami. Jakże mocno tkwiły w ich pamięci tamte wspólne, cudowne, wiecznie za krótkie chwile. Kiedyś...

Ale to było dawno. A poza tym Rafe zaraz ma w sądzie wstępne przesłuchanie, a Jeannie za kilka godzin musi odebrać syna ze szkoły.

- Późno już - w zapadłej ciszy jej głos zabrzmiał nieco nerwowo.

Zerknął na zegarek. Kiedy pochylał głowę, słońce ślizgało się pieścotliwie po jego bujnych, czarnych włosach.

- Dwunasta trzydzieści.

- Kiedy masz być w sądzie?

- Przesłuchanie zaczyna się za pół godziny.

- W takim razie może pomówimy przez telefon. Dziś wieczorem. Poczekam, aż Tony pójdzie spać.

- Nie. Pogadamy, jak wrócimy z sądu - przeszedł do gabinetu. Nie od razu to do niej dotarło. Zaklęła pod nosem i ruszyła za nim.

- Zaraz, zaraz. Co to znaczy: jak wrócimy z sądu? - Stała naprzeciw niego po drugiej stronie biurka, opierając zaciśnięte pięści na biodrach.

- A to, że pójdziesz ze mną - włożył pustą butelkę po piwie do nesesera z czarnej, lśniącej skóry.

- Ale...

- Przesłuchanie nie będzie trwało dłużej niż godzinę.

- Godzinę!?

Rafe wzruszył ramionami.

- No, góra dwie.

- Ale ja o trzeciej muszę odebrać Tony'ego!

- Czy Rusty nie może?
- Dziś ma ujeżdżanie.
- A Marta? Jeannie nadała się.
- Ale Tony czeka na mnie.

Błękitne jak niebo oczy Rafe'a patrzyły na nią cierpliwie.

- Jeannie, proszę cię tylko o to jedno popołudnie.
- Niech już będzie - warknęła zirytowana, lecz w głębi ducha umierała wprost z ciekawości, by zobaczyć Rafe'a w akcji. A poza tym... niech to diabli, do czego może być mu potrzebna ta butelka?

- Ale najpierw muszę zadzwonić na ranczo.
- Zadzwoń stąd. - Podniósł z biurka neseser i skierował się ku drzwiom.
- Szekspir miał jednak rację - mruknęła pod nosem, wykręcając numer.

- Ale jeśli rzeczywiście pozabijalibyśmy wszystkich prawników - odparł wesoło - to kto zajmowałby stanowiska publiczne?

- No właśnie!

Rafe znów się roześmiał i wyszedł z gabinetu. Jeannie usłyszała w słuchawce głos Webba Bishopa.

- W... Webb?
- Cześć, Jeannie.

Zmieszała się, z niedowierzaniem pokręciła głową.

- A cóż tam robisz o tej porze?
- A, miałem kilka wolnych godzin między obchodem w szpitalu a dyżurem w przychodni. Pomyślałem więc, że wpadnę i zobaczę, co u ciebie.

- Dziękuję, wszystko dobrze - powiedziała pospiesznie. - Tak, wszystko dobrze - powtórzyła już wolniej.

- To Bogu dzięki - odpowiedział i chrząknął. - Bogu dzięki. Zapadła cisza. Bardzo wymowna cisza. Pierwsza przerwała ją Jeannie.

- Słuchaj, jestem teraz w San Antonio.

- Tak, wiem, mówiła mi Marta.

Jeannie przewróciła oczami, a potem zacisnęła powieki; w głosie Webba czuła wyraźnie nutę rezygnacji. Łzy napłynęły jej do oczu. A więc wszystko między nimi skończone. Skończone, zanim jeszcze naprawdę się zaczęło. Och, nie ma sensu przedłużać tej męczarni.

- Czy Marta tam gdzieś jest? - spytała z fałszywym ożywieniem.

- Tak, ale ręce ma po łokcie umazane w cieście. - Acha, to dlatego telefon odebrał Webb. - Mogę jej przekazać... zanim pójdę.

Jeannie wyjaśniła, o co chodzi. Potem dodała:

- Webb? Dziękuję, bardzo dziękuję za wszystko, co zrobiłeś dla Wielkiego Toma, dla Tony'ego i... i dla mnie.

Był w każdym calu dżentelmenem, aż do końca.

- Żegnaj, Jeannie.

- Żegnaj, Webb - szepnęła i odłożyła słuchawkę. Z całego serca zrobiłaby wszystko, aby oszczędzić mu bólu.

Tylko że...

Tylko że on nie był Rafe'em.

Rozdział 7

W sali sądowej było cicho jak w kościele. Ludzie chodzili na palcach i rozmawiali szeptem. Słyszeć było szmer wentylatorów, tykanie zegara na ścianie, skrzyp zawiasów przy drzwiach, szelest przekładanych papierów. Klient Rafe'a, mężczyzna o włosach sztywnych jak drut i skórze ciemnej jak melasa, był handlarzem i właścicielem baru. Przyznał się, że strzelił do jednego ze swoich klientów podczas sprzeczki; twierdził, że zrobił to w obronie własnej. Ale ponieważ rzecz odbyła się bez świadków, nie wiadomo było, czy mówił prawdę. Bo i któż wierzyłby człowiekowi mającemu na ramieniu tatuaż "Morderca"?

Poszkodowany wyglądał natomiast niewinnie jak ministrant. Włosy miał przycięte i starannie uczesane, twarz gładko wygoloną, skórę białą i delikatną. Nosił ciemny garnitur i gustowny krawat.

Prawą rękę miał na temblaku.

- Proszę wstać - zarządził donośnym głosem woźny.

Jeannie podniosła się z miejsca wraz ze wszystkimi. Na salę wszedł sędzia. Był to mężczyzna około sześćdziesięcioletni, w czarnej todze i okularach jak Benjamin Franklin.

- Proszę usiąść - zezwolił sędzia, zajął swoje miejsce i skinął głową prokuratorowi:

- Proszę zaczynać.

Jeannie siedziała w pierwszym rzędzie i wszystko doskonale widziała. Nigdy dotąd nie była w sądzie, nawet w zwykłym kolegium do spraw wykroczeń drogowych. Pochyliła się odrobinę na krześle, nie chcąc uronić ani słowa.

W drodze do sądu Rafe objaśnił ją, że jeśli w czasie przesłuchania oskarżeniu uda się przedstawić dość dowodów i przekonać sędziego, oskarżonemu, czyli klientowi Rafe'a, zostanie wytoczony proces o napad z bronią w ręku. Jeśli

natomiast Rafe, opierając się na dowodach i na tym, co pod przysięgą zezna oskarżony, zdoła obalić zarzuty - jego klient będzie wolny.

Przesłuchanie zaczęło się. Prokurator wezwał świadka.

Był to policjant, który został wezwany przez pewnego przechodnia na miejsce domniemanego przestępstwa. Tam zobaczył oskarżonego, trzymającego w ręku dymiący jeszcze pistolet.

Gdy świadek skończył mówić, Jeannie zerknęła na Rafe'a. Siedział za stołem przeznaczonym dla obrońcy z twarzą spokojną i nieprzeniknioną.

- Świadek do pańskiej dyspozycji - zwrócił się do niego prokurator.

- Dziękuję - Rafe wstał, wziął jedną z załączonych do materiału dowodowego fotografii i podszedł z nią do policjanta.

Jeannie pamiętała, jak bardzo Rafe chciał zostać prawnikiem. Uważał, że tylko w ten sposób może walczyć z niesprawiedliwością, z jaką bezustannie spotykają się ludzie tacy jak on. Matka urodziła go w szpitalu w dzielnicy hiszpańskiej, na specjalnym, dobroczynnym oddziale dla biedoty. Bardzo szybko dowiedział się, co znaczy ubóstwo i bezprawie. Był przecież synem imigrantów, prostych robotników, ludzi bez jakichkolwiek praw publicznych. Musiał spać w zatłoczonej izbie, ubierać się w stare, znoszone łachy, jeść byle co - i jeszcze być za to wszystko wdzięczny. Wychował się na ulicy i z własnego doświadczenia wiedział, że ślepa sprawiedliwość lubi od czasu do czasu otworzyć oko i dokładnie przyjrzeć się kolorowi skóry człowieka, jego ubiorowi, miejscu zamieszkania i przyjaciołom.

Stał teraz przed świadkiem - wysoki, swobodny, pewny siebie.

- Sierżancie - rzekł. - Oto raz jeszcze widzi pan fotografię przedstawiającą miejsce domniemanego przestępstwa. Proszę powiedzieć sądowi, co to za przedmiot widać tu, na podłodze, po prawej stronie ofiary.

- To butelka po piwie.

Kątem oka Jeannie dostrzegła, że poszkodowany drgnął. Nerwowo poruszył się na krześle i poprawił rękę na temblaku.

- Co to za butelka? - spytał Rafe.

- Nie wiem. - Policjant raz jeszcze zerknął na zdjęcie. - Etykieta jest bardzo niewyraźna.

Twarz Rafe'a zajaśniała uśmiechem, wesoło błysnęły mu oczy.

- Proszę pozwolić, że spytam raz jeszcze. - Znów przybrał poważny wyraz twarzy.' - Czy widzi pan w tej butelce coś dziwnego?

Sierżant skinął głową.

- Butelka jest zbita.

- A czy zbita butelka może posłużyć jako broń w napadzie na człowieka?

- Tak, oczywiście.

- Czy widział pan już kogoś zaatakowanego taką butelką?

- Tak. Widziałem, i to wielokrotnie.

- Czy widział pan kiedyś człowieka, który w wyniku takiego ataku poniósł śmierć?

- Zgłaszam sprzeciw! To nie wiąże się z tematem - odezwał się prokurator.

- Uchylam sprzeciw. Rafe powtórzył pytanie.

- Tak. Widziałem - odparł policjant.

- A więc, pańskim zdaniem, zbita butelka może służyć do zadania śmierci?

- Zgłaszam sprzeciw! To niedopuszczalna interpretacja faktów.

Tym razem Rafe nie pozostał obojętny. Gwałtownie odwrócił się do sędziego, oczy błyszczały mu ledwie hamowanym wzburzeniem. Ale nie wybuchnął. Spokojnie i logicznie tłumaczył, jak ważna jest dla przyjętej linii obrony odpowiedź na postawione przed chwilą pytanie.

- Uchylam sprzeciw. - Sędzia skinął głową na świadka. - Proszę odpowiedzieć.

- Taka butelka może służyć do zadania śmierci.

- Sierzancie, proszę mi powiedzieć - kontynuował Rafe - czy zbita butelka, widoczna na tym zdjęciu, objęta została czynnościami śledczymi, a jeśli tak, to gdzie się obecnie znajduje?

- Tak jest. Została zabezpieczona jako dowód - zamiast świadka odparł prokurator.

Rafe podszedł do stołu z dowodami rzeczowymi i wziął butelkę do ręki.

- Czy pański oddział zdjął z tej butelki odciski palców? - spytał.

- Oczywiście.

- I czyje to były odciski?

- Poszkodowanego.

Raz jeszcze człowiek z ręką na temblaku poruszył się niespokojnie. Teraz już zauważyli to wszyscy. Poszkodowany zdrową rękę uniósł niby to do czoła, ale naprawdę po to, by zakryć sobie oczy.

Dostrzegł to i Rafe. Licząc na dramatyczny efekt, uniósł w górę butelkę i spytał podniesionym głosem:

- W którym miejscu odkryto na tej butelce odciski palców?!

- Znaleźliśmy częściowy odcisk kciuka w okolicy mniej więcej połowy wysokości butelki, tuż przy linii pęknięcia szkła. Znaleźliśmy także wianuszek palców dookoła szyjki.

Rafe odłożył butelkę. Położył ją w ten sposób, by ze stołu sędziowskiego widać było ostrą, poszarpaną krawędź pęknięcia. Następnie wrócił na swoje miejsce i sięgnął po stojący obok krzesła neseser. Wyjął z niego butelkę, którą zabrał z restauracji.

- Za zgodą Wysokiego Sądu - zwrócił się w stronę sędziego - obrona chciałaby pozwolić sobie na małą demonstrację.

Sędzia skinął przyzwalająco.

- Bardzo proszę.

Energicznym, sprężystym krokiem Rafe podszedł do świadka. Jeannie zamarła w oczekiwaniu.

- Sierzancie, nie chciałbym, aby pan się zranił, więc podam panu całą butelkę po piwie, która poza tym jest identyczna jak ta znaleziona na miejscu domniemanego przestępstwa...

- Sprzeciw! - zerwał się na równe nogi oskarżyciel. Zbyt późno zdał sobie sprawę, do czego zmierza jego przeciwnik. - Ten pokaz niczego istotnego do sprawy nie wniesie!

Rafe zwrócił się ku niemu i z całkowitym spokojem wyjaśnił:

- Obrona pragnie jedynie, by świadek bezpiecznie mógł zademonstrować Wysokiemu Sądowi to miejsce, w którym na pękniętej butelce znaleziono częściowy odcisk kciuka.

Sędzia wahał w myślach prośbę Rafe'a. W końcu rzekł:

- Istotnie, nie jest to właściwie zgodne z zasadami, ale sąd wyraził już swą zgodę, pozostanmy więc przy niej.

Oskarżyciel usiadł bez słowa, manifestując swoje niezadowolenie głośnym szurnięciem krzesła.

Rafe podał butelkę policjantowi i poprosił, by ten chwycił ją w taki sposób, ażeby kciuk znalazł się w miejscu, w którym na butelce zbitej jest jego odcisk. Świadek wykonał prośbę; denko butelki znalazło się w górze. To wystarczyło. Rafe

podziękował, następnie podszedł do stołu z dowodami rzeczowymi, wziął zbitą butelkę i podał ją świadkowi.

- A teraz proszę wziąć tę butelkę. Proszę tylko uważać, krawędź jest ostra. Proszę zachować taki sam układ palców, jaki ustaliły czynności śledcze na podstawie zdjętych odcisków.

Oskarżyciel znów zerwał się z miejsca.

- Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw! To jest przedmiot o wartości dowodowej!

- Wysoki Sądzie - powiedział spokojnie Rafe. - Poszkodowany zeznał, że oskarżony po podaniu kilku zamówionych piw odmówił podania następnego. Zeznał również, że kiedy on sam próbował wyjaśnić powstałe nieporozumienie, oskarżony sięgnął po broń, którą trzymał pod ladą - nadmieńmy tu, że miał na tę broń legalne pozwolenie - i bez żadnej przyczyny strzelił do poszkodowanego.

Otóż faktycznie było tak - a postaramy się tego dowieść w dalszej części przesłuchania - że oskarżony odmówił dalszego podawania napojów alkoholowych poszkodowanemu, ponieważ ten był kompletnie pijany i zachowywał się agresywnie, krzycząc, lżąc i grożąc oskarżonemu. Postaramy się także dowieść, że kiedy oskarżony zwrócił uwagę poszkodowanemu, że wypił już dość, ten uderzył opróżnioną właśnie butelką po piwie o krawędź baru i rzucił się na oskarżonego z wyraźnym zamiarem ugodzenia go w szyję.

Dalej, poprzez dokładniejsze badanie zeznań stron i analizę materiału dowodowego, zamierzamy dowieść, że poszkodowanemu zdarzały się już w przeszłości przypadki niebezpiecznego dla otoczenia zachowania, zwłaszcza gdy był pijany. Oskarżony, będąc zagrożony straszliwą bronią, jaką jest zbita butelka, nie miał innej możliwości obrony, jak tylko użycie broni palnej.

Podsumowując, Wysoki Sądzie, obroną jest zdania, że ten oto poszkodowany - to słowo Rafe przeciągnął drwiąco, zwracając się ku człowiekowi z ręką na temblaku - dostał to, na co sobie zasłużył.

Oskarżyciel ponownie zgłosił sprzeciw.

- Wysoki Sądzie, to jest obraza poszkodowanego!

- Uchylam sprzeciw. Przekonajmy się, czy sytuacja rzeczywiście wyglądała tak groźnie.

Rafe odwrócił się do stojącego za jego plecami świadka.

- Sierzancie, czy może pan pokazać Wysokiemu Sądowi miejsca, w których znaleziono na butelce odciski palców?

Policjant wziął do ręki zbitą butelkę, zaciskając palce na szyjce i opierając kciuk w połowie wysokości, nieco poniżej ostrej krawędzi. Podniósł rękę i chwilę trzymał ją przed sobą, a potem szybko przesunął w kierunku sędziego. Wszyscy usłyszeli niski, złowrogi dźwięk, z jakim poszarpana krawędź przecinała powietrze! Sędzia mimowolnie odchylił się do tyłu; na jego twarzy pojawił się nieprzyjemny grymas.

Bez wątpienia była to broń straszliwa, broń śmiertelna i Rafe tego dowiódł!

- Nie mam już żadnych pytań - powiedział. Odebrał butelkę policjantowi i odniósł ją na stół, po czym zajął swe miejsce, uśmiechając się tryumfalnie.

Rozdział 8

- Kochasz to, prawda?

- Co? - Rafe zerknął zza kierownicy corvetty. - Wygrywanie? Jeannie uśmiechnęła się do niego. Jechali Commerce Street w kierunku Dzielnicy Zachodniej. Właśnie przed chwilą opuścili salę sądową; przesłuchanie trwało nieco ponad godzinę i zakończyło się uniewinnieniem klienta Rafe'a. Wracali teraz do biura, aby uzgodnić okoliczności spotkania Rafe'a z Tonym.

- O, jestem pewna, że lubisz wygrywać. - Dojeżdżali już do celu. - Ale mówiłam ogólnie o pracy adwokata.

Rafe zwolnił i ostrożnie zaparkował auto na jego stałym miejscu.

- Nie chodzi o to, że się wygrywa czy przegrywa. Chodzi przede wszystkim o dobrą, twardą walkę, a taką zawsze lubiłem.

Jeannie wybuchnęła śmiechem, ale zaraz umilkła. Przypomniało się jej jedno z tych dawnych, niemal całkowicie zapomnianych zdarzeń. Pewnego dnia Rafe pojechał do Bolero po paszę dla bydła i wrócił z pokaleczoną twarzą i krwawiącymi kłykciami. Nic nie musiał jej mówić, i tak wiedziała, że albo ktoś go paskudnie wyzwał, albo próbował skądś wyrzucić. Jeannie cierpiała tak, jakby to ją napadnięto. Ale Rafe nie powiedział ani słowa - nie chciał niczyjego współczucia.

- Byłeś wspaniały w sądzie - powiedziała szczerze. Lekceważąco wzruszył ramionami. Wyłączył silnik.

- Robię tylko to, co do mnie należy. Musi być sprawiedliwość.

- Wiesz, co mnie w wymiarze sprawiedliwości najbardziej wścieka?

- No?

- To, że sędzia może wypuścić winnego na podstawie jakiegoś kruczka.

- To niezupełnie jest tak. Sam sędzia nie stanowi prawa. Ani tym bardziej żaden kruczek. To należy do kompetencji senatu każdego ze stanów i przedstawicielstwa...

Jeannie wybuchnęła gwałtownym śmiechem i uniosła ręce nad głowę.

- Och, poddaję się. Jestem bezsilna wobec agitacji politycznej. I on się roześmiał.

- Punkt dla mnie!

Założyła nogę na nogę i obróciła się ku niemu na niskim, pochylonym do tyłu siedzeniu. Skromnie obciągnęła drelichową spódnicę, ale zapomniała o szerokim dekolcie swego wdzianka. Wąski stanik i cienki, opięty materiał bluzki podkreślały raczej niż ukrywały zarys jej krągłych, pełnych piersi.

- A teraz serio - . powiedziała. - Co skłoniło cię do sprawdzenia, czy poszkodowany był już kiedyś notowany?

- Rzekomy poszkodowany - uściślił Rafe. I on obrócił się ku niej, opierając jeden łokieć na kierownicy, drugi zaś na oparciu siedzenia. Poły marynarki rozchyliły się i odsłoniły szelki z czerwonego jedwabiu. Spod mankietu koszuli wyjrzał lśniący, platynowy zegarek.

Zgodziła się z nim kiwnięciem głowy. Jak się później okazało, Rafe pofatygował się nawet do więzienia, by dowiedzieć się tam wszystkiego o użyciu zbitej butelki jako broni. Nie omieszkał poinformować o tym sędziego, co wraz z dokonaną demonstracją oraz zeznaniem oskarżonego ostatecznie przekonało sąd, że ma do czynienia z oczywistym przypadkiem samoobrony.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - przypomniała Jeannie.

- A uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział, że miałem po prostu nosa? - uśmiechnął się.

Jeannie zadarła do góry głowę i zmrużyła oczy.

- Nosa? A może była to raczej staranna robota detektywistyczna?

- To właściwie to samo - odparł obojętnie.

- Hmm, ten przypadek najlepiej właśnie dowodzi, że pozory mylą. Rafe zmarszczył brwi, w źrenicach pojawiły się zimne błyski.

- Co masz na myśli? To, że mój klient miał ciemną skórę? Ciało dziewczyny stężało, głos stał się niski i spięty:

- Słuchaj, może choć raz byś sobie darował! Spojrzał na nią uważnie, badawczo.

A potem nagle nachylił się ku niej.

- Ale buziaka ci nie daruję.

Serce zatrzepotało jej w piersi. Zrobił to tak niespodziewanie - i tak kusząco! Jego twarz, jakby rzeźbiona w brzoju, była tuż tuż; Jeannie poczuła, że pragnie jego pocałunków, pragnie jego całego.

Potrząsnęła jednak głową. Wysiłkiem woli starała się powstrzymać drżenie serca, ugasić pożar krwi. Jeszcze trzy dni temu ich miłość była zaledwie dalekim wspomnieniem, wspomnieniem uszlachetnionym przez upływ czasu i przez odległość, wspomnieniem zachowanym w urodzie Tony'ego. Teraz zaś czuła, jak coś bezlitośnie spycha ją w otchłań pełną burz i zamętu tamtych młodych lat.

- Jak to się mówi...? - Rafe dotknął jej jasnych, lśniących włosów. - Acha: zdobycz należy do zwycięzcy.

Pochylił się nad nią jeszcze bardziej. Cofnęła się, aż klamka od drzwi boleśnie wpiła się jej w plecy. Nie miała gdzie uciekać. Chyba że do przodu...

Nabrała tchu, by powiedzieć, że od tamtych chwil zbyt wiele upłynęło czasu, ale kiedy Rafe ujął jej twarz w

delikatne, brązowe dłonie, i kiedy poczuła ciepło jego oddechu na swoich wargach - - przepelniła ją gwałtowna, zniewalająca fala czułości i pożądania.

- Jeannie... och, Jeannie - szeptał jej imię, jakby chciał w ten sposób przekreślić wszystkie te lata bólu i krzywdy.

Czuła jego zapach - gęsty, intensywny, pomieszany z aromatem wody po goleniu o woni jakichś tropikalnych drzew.. Zamknęła oczy, by nie widział, jak głodnym wzrokiem wodzi po całej jego twarzy. Miękkie, gorące wargi dotknęły jej ust - ostrożnie, pieścizotliwie, kusicielsko... aż sama rozwarła swoje i powitała go wspaniale po tak długim rozstaniu.

- Och, Rafe ... - szeptała wśród pocałunków.

Pieścił ją cudownie, bawił się, smakował, brał po kawałeczku i pochłaniał na raz całą. Zarzuciła mu ręce na szyję i niecierpliwie przyciągnęła do siebie. Całował ją głęboko, jego język i usta rozpalały w jej sercu płomień i wypełniały całe ciało gwałtownym, lecz nieskończenie słodkim drzeniem.

Kabina corvetty niby ochronny kokon skrywała ich rozpalającą się namiętność, ale i nie pozwalała na zbyt dużą śmiałość. Była trochę jak tamten stary, rozsypujący się studebaker, wierny przyjaciel ich miłości, lecz jednak nie mogła służyć im tak dobrze jak on.

Rafe objął dziewczynę ręką; poczuła jego palce na plecach. Drugą sięgnął do biodra, by za chwilę delikatnie przesunąć wprost ku ciepłej wypukłości piersi; zaczął ją czule oswajać, głaskał, składał dłoń w miseczkę pełną rozkwitłych, różanych pączków. Jeannie gładziła jego silny kark, błędziła palcami wśród włosów, upajała się dotykiem muskularnego męskiego ciała. Potem ostrożnie, bo było to dla niej coś nowego, dotknęła jego srebrnego kolczyka.

Nie tylko dusze, ale także ich ciała zawsze świetnie się rozumiały. Oboje pamiętali swe pierwszo odkrycia, swe zdziwienia, nie bez wstydu poznawaną mapę czułych punktów na ciele kochanka. Teraz wystarczyło tylko sięgnąć ręką i narysować na skórze znaną sobie linię.

Cichy pomruk Rafe'a był zaproszeniem do pieszczot. Czubkami palców Jeannie, obracała kolczyk, uderzała weń lekko paznokciem, ogrzewała go własnym ciepłem, biorąc pomiędzy palce. Sama też zaczęła mruczeć, kręciła głową, odchyłała ją do tyłu, gdy Rafe, sycąc swój miłosny głód, delikatnie szczypał jej szyję zębami, skubał wargami uszy, napierał na jej kark, drżący pod gorącą, wilgotną pieszczotą jego języka.

- To ... to zwariowane - z trudem wydobyła z siebie głos.
- Ściskamy się w samochodzie jak dzieciaki.

Roześmiał się tuż przy jej uchu. Odruchowo skłoniła ku niemu głowę.

- Och, ale pomyśl, ile się od tego czasu nauczyliśmy!

Jeannie oprzytomniała w jednej chwili. O tak, powinna była o tym pomyśleć! Pod tym względem czas stał w miejscu tylko dla niej. Rafe z pewnością poznał i nauczył się niejednego. A jej wiedza - cóż, ograniczała się tylko do dawnych, bardzo już dawnych, ich wspólnych doświadczeń.

Chwyciła go za ramiona i lekko potrząsnęła.

- Muszę już iść.

- Zostań dziś na noc w mieście - poprosił.

- Nie, nie mogę - pokręciła głową. Odmawiała mu, odmawiała także i sobie. Ujął jej dłoń i ucałował wilgotne, pulsujące jeszcze pieszczotą wnętrze.

- Zostań. Zjemy razem obiad na Riverwalk... Wyrwała się.

- Tony zaraz będzie w domu.

- ... a potem

- Potem co? Pokażesz mi swoją kolekcję butelek?
- Pokażę ci siebie. Jeśli i ty pokażesz mi siebie.
- Nie. Już mnie widziałeś - trudno było jej mówić.

Przesunął pieszczotliwie palcem po jej gładkim policzku, aż do brwi. Rzekł cicho:

- Ale dawno, bardzo dawno.
- I już nigdy więcej - rzuciła ostro.

Puścił ją i cofnął się na swoje miejsce. Nic nie odpowiedział, patrzył tylko przez okno samochodu na ceglana ścianę swojego biura.

- Wszystko robiliśmy na odwrót, prawda? - obrócił ku niej głowę. Jego oczy i głos przepętniał wielki smutek. - Postaraliśmy się o dziecko, a przecież nigdy nie byliśmy nawet na prawdziwej randce.

Jeannie westchnęła; ostra igielka bólu przeszła jej serce. Musiała zmrużyć powieki, bo inaczej łzy pociekłyby jej strumieniami po policzkach.

- Zawsze chciałem cię wszędzie zabierać: do kina, na koncerty, nad rzekę - Rafe uśmiechnął się gorzko. - Ale co chcesz, białe dziewczyny nie pokazują się przecież w towarzystwie złych smoluchów. Zamiast tego zabrałem cię więc na tylne siedzenie samochodu.

- Przede wszystkim, i to było dla mnie najważniejsze, brałeś mnie w ramiona - Jeannie odsunęła czarny, niesforny kosmyk włosów, opadający Rafe'owi na czoło i pogładziła zmarszczone boleśnie brwi. - To było jedyne miejsce na świecie, z którego nigdy nie chciałam odejść.

Chwycił ją mocno za rękę.

- Proszę, uwierz mi, nigdy, przenigdy nie chciałem cię zranić.

- Ani ja ciebie...

- Gdybym wtedy wiedział to, co wiem dziś, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

- To była nie tylko twoja wina.
- Tak, ale ja jestem starszy od ciebie. Mogłem przynajmniej spróbować wziąć sprawę w swoje ręce.
- A ja mogłam, kiedy było trzeba, powiedzieć „nie”. Rafe znów ścisnął rękę dziewczyny.
- Boże, gdybyśmy tylko mogli cofnąć czas i zacząć wszystko od początku!
- Może byśmy mogli...
- Co?!
- Tak.
- Ale ... w jaki sposób?
- Odprowadź mnie do mojego wozu, a ja ci po drodze powiem. Rozpromienił się w szerokim uśmiechu.
- Hej, stawiasz ciężkie warunki!
- Prawda? - odparła z udawaną przebiegłością.

Nie puszczał jej ręki, kciukiem pieścił kostki palców. Zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby porwał ją teraz w ramiona i zaniósł do siebie na górę, prosto do łóżka. Przez jedenaście lat była dla niego całkowicie niedostępna - a to dzięki Wielkiemu Tomowi i jego intrygom. A teraz, teraz nareszcie przyszedł czas, by odrobić to, co stracone.

Pragnął znów widzieć, swoje ręce na jej białej, delikatnej skórze, czuć jej drżącą nagość, jej pożądanie. Ślepo wędrować dłońmi po piersiach, brzuchu, biodrach. Pragnął znów kosztować miodu jej miłości, pić słodycz wezbranych piersi, zanurzyć się w wilgotną, gorącą kobiecość. Chciał wtulić twarz w jej ramiona, całować jej pełne wargi, iść z nią tam, gdzie nigdy jeszcze nie byli.

Ale pragnienia i rzeczywistość - to dwie różne sprawy.

- Dobrze, chodźmy - powiedział i puścił jej rękę.

Jeannie sięgnęła po torebkę. Przez chwilę poczuła w sobie coś w rodzaju zawodu. Już myślała, że odnalazła w jego błękitnych jak niebo oczach ten stary, dobrze znajomy blask.

Blask, który ją zawsze rozpalał. Lecz kiedy Rafe wysiadł i obszedł samochód, by otworzyć drzwi, uprzytomniła sobie, że wszystko już się skończyło. Pozostała jedynie dawna znajomość, może przyjaźń.

- A więc - spytał Rafe - cóż to za tajemny plan wymyśliłaś?

- Jest wiosna - zaczęła - a, jak pamiętasz, wiosną na ranczo odbywa się znakowanie.

Tak jest, pamiętał. Pamiętał zwłaszcza jedną wiosnę: głębokie, szare oczy córki ranczera, jej ciasno opięte dzinsy; pamiętał jej drelichową bluzę, spod której wypatrzył raz maleńki rąbek bielusińskiej koronki halki - przez cały dzień chodził potem jak w gorączce. Pamiętał też, że stale gnał do szkoły z głową pełną marzeń - i z pustymi kieszeniami.

- Zaczną wcześniej tego roku, prawda?

- Już w przyszłym tygodniu.

- Już wiem. Chcesz, żebym przyjechał na ranczo i zatrudnił się...

- Wcale nie musisz pracować. Pomyślałam tylko, że lepiej by było, gdybyś poznał się z Tonym w jego domu.

- Jak on będzie się czuł, gdy jakiś obcy...

- Nie, nie. Mówiłam mu, że jesteś starym kumplem dziadka.

Rafe uśmiechnął się smutno i westchnął, jakby chciał powiedzieć: „Daj spokój”. Jeannie dotknęła lekko jego ramienia.

- Tony jest zupełnie inny niż Wielki Tom...

- Dzięki Bogu.

- On jest bardzo towarzyski. Jestem pewna, że ciebie polubi. Rafe westchnął z ulgą.

Od pewnego czasu czuł jakiś nieokreślony niepokój. Chwilami miał wrażenie, że cały świat wali się mu na głowę. Dawało o sobie znać zmęczenie wiosenne, ale przede

wszystkim dręczyła go myśl, że nie będzie mu łatwo przekonać do siebie swojego syna. W dodatku zbliżała się kampania wyborcza, w której tak bardzo chciał odnieść sukces...

Jeannie tylko częściowo miała rację, mówiąc, że Rafe kocha swą pracę. Adwokatura była dla niego narzędziem walki o sprawiedliwość. Ale walka ta często kończyła się klęską. Widząc, jak powolny i w gruncie rzeczy nieskuteczny jest system wymiaru sprawiedliwości, Rafe czuł się bezsilny. Zastanawiał się, czy jego praca i poświęcenie mają jakikolwiek sens. Dziwne poczucie niedoskonałości i wewnętrznej pustki towarzyszyło jego zawodowej karierze już od dawna. Ale teraz, gdy odnalazł wreszcie swoją ukochaną i swego syna - poczuł, że odzyskuje wewnętrzny spokój. Wiedział, że zrobi wszystko, by już nigdy ich nie stracić.

- A gdybym chciał się zatrudnić? - spytał. Myśl o wspólnej pracy na ranchu przyćmiła przykre wspomnienia związane z osobą Wielkiego Toma.

- Przyda się każda para rąk. - Jeannie rozpromieniła się. Wyobraziła sobie Rafe'a i Tony'ego razem, nareszcie razem po długim rozstaniu; oczami duszy widziała szczęśliwą, normalną rodzinę, o której zawsze marzyła - ich rodzinę.

Było jeszcze coś, co niepokoiło Rafe'a. To wprawdzie nie jego interes, mówił sobie w duchu, przecież Jeannie jest wolna i może widywać kogo tylko zechce. Nie wytrzymał jednak i zapytał:

- Kim dla ciebie jest Webb Bishop?

- Jesteśmy przyjaciółmi - odpowiedziała. Miała przynajmniej nadzieję, że są nimi nadal.

Spojrzała na Rafe'a badawczo; skoro o to zapytał, więc i ona...

- Masz kogoś...?

- Nie. Już od dawna. A tak naprawdę, nigdy nie miałem nikogo prócz ciebie. Przez długą chwilę milczeli oboje.

Pierwsza odezwała się Jeannie:

- Dasz radę wyrwać się z pracy?

- W poniedziałek na pewno, ale później... Muszę zajrzeć do terminarza.

- Może więc przyjedziesz w niedzielę i...

- Jeśli będzie trzeba, zmienię rozkład tygodnia. Mocno ścisnęła mu rękę.

- Naprawdę?

Odwzajemnił jej uścisk. Nic już nie musiał mówić.

Doszli do samochodu Jeannie. Za wycieraczkę wetknięty był mandat za parkowanie powyżej godziny. Pokazała mu go.

- Dzięki Bogu znam świetnego adwokata - powiedziała.

Rafe schował mandat do kieszeni i przyparł Jeannie do maski wozu. Oczy mu się śmiały, kiedy pytał:

- Pewna jesteś, że stać cię na moje usługi?

Czuła za sobą nagrzaną słońcem blachę karoserii. Uśmiechnęła się. Jedenaście lat bólu i udręki rozwiało się jak poranna mgła. Och, jakże go kochała, kochała zawsze! Gdyby tylko poprosił raz jeszcze - z jakąż radością zostałyby dziś w mieście!

Dotknęła nosem jego policzka i szepnęła:

- Jeśli nie będzie mnie stać, to mogę okazać ci wdzięczność w inny sposób. Rafe odsunął się. Gorąco pragnął się z nią kochać - teraz, zaraz! Nie chciał

jednak, by martwiła się o Tony'ego i by ciągle spoglądała na zegarek - tak jak wówczas, gdy mieli zawsze za mało czasu, bo Jeannie powinna była wrócić, zanim Wielki Tom się spostrzeże.

- Lepiej już jedź - otworzył drzwi i pomógł wsiąść do auta.

Otworzyła okno. Rafe wyglądał na zmartwionego. Czuła, że chce coś powiedzieć, a nie może się na to zdecydować.

- Co się stało?

- Wiesz, właśnie zdałem sobie sprawę, że nawet nie znam pełnego imienia mojego syna.

- Anthony Thomas.

Och! Rafe poczuł, jak rosna mu skrzydła.

- Anthony? Tak jak mój ojciec?

- Ochrzciałam Tony'ego w Houston - powiedziała miękko, patrząc mu prosto w oczy.

Był naprawdę oszołomiony.

- Jak to? Przecież nie jesteś katoliczką?

- Owszem, jestem.

- Boże! Od kiedy?

W jej oczach migotały radosne ogniki.

- Gdy zamieszkałam u ciotki, zaczęłam uczęszczać na rekolekcje i wkrótce przeszłam na katolicyzm.

- A co na to Wielki Tom? Był przecież zagorzałym baptystą?

Już chciała powiedzieć, że z tego powodu rozpętała się w domu prawdziwa burza, ale ugryzła się w język. Pomyślała, że to przykre wspomnienie może zepsuć im ten tak pięknie rozpoczęty dzień.

- A ...! - machnęła ręką. - Najważniejsze jest to, że szczerze pokochał Tony'ego.

Rafe uśmiechnął się ze smutkiem.

- Tak. Masz rację.

- A więc do niedzieli - powiedziała i zapuściła motor.

Pochylił się i przez otwarte okno sięgnął jej ust, całując je gwałtownie, niecierpliwie. Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku, całym sercem oddając pocałunek. Och, jakże słodkie to było pożegnanie!

Rafe uniósł głowę. Patrząc w jej wilgotne, zamglone oczy,
szepnął:

- Vaya con Dios.

Rozdział 9

- Jeśli jesteś przyjacielem dziadka, to dlaczego nie odwiedzałeś go, gdy był chory?

Rafe spodziewał się takiego pytania. Taszczył do stajni przywiezione ze sobą siodło i zastanawiał się, co powiedzieć. Cóż, pytanie jest uczciwe i trzeba na nie udzielić równie uczciwej odpowiedzi.

Tony wszedł za nim do stajni i zatrzymał się przed małym boksem, który dano gościowi na trzymanie uprzęży.

„Tylko spokojnie!” - pomyślał Rafe. Położył siodło na klepisku, wyprostował się i spojrzał poważnie na syna. Ha! To uparciuch!

- Nikt mi nie powiedział, że Wielki Tom jest chory - odparł.

- To mogłeś zadzwonić - błękitne jak niebo oczy dziecka patrzyły wyzywająco. Wysunął do przodu szczękę i śmiesznie zmarszczył brwi.

Rafe pieszczotliwie zmierzwił mu włosy. Starał się zyskać na czasie. Zaraz jak tylko zatrzymał ciężarówkę przed stajnią i zabrał się do jej wyładowywania, Tony wyskoczył mu zza pleców i rzucił to swoje wyzwanie. Trzeba przyznać, że od razu zepchnął Rafe'a do defensywy.

Na myśl o tym, że to robota Wielkiego Toma, Rafe'em targnął gniew. Stary nie zastanawiał się, komu naprawdę wyrządza krzywdę. Chciał przede wszystkim zrobić na złość Rafe'owi. I proszę, udało się: zbuntował chłopca.

To była gorzka pigułka, naprawdę ciężko ją było przełknąć. Ale trzeba to było zrobić - albo już do końca życia truć tym samym jadem, który miał w sobie ten cholerny, twardogłowy staruch.

Trudno było Rafe'owi mówić, ale przemógł się.

- Tak, teraz mi przykro, że nie zadzwoniłem. - Na szczęście zabrzmiało to całkiem szczerze.

- Ja myślę. - Tony odwrócił się i ruszył do drzwi. Zatrzymał się tuż przed nimi i po chwili namysłu zerknął na Rafe'a. Jego głos był drżący, wysoki, ostro dźwięczał w betonowym przejściu między boksami:

- Dziadek był bardzo samotny. Kiedy umierał, opuścili go wszyscy przyjaciele. W pierwszej chwili Rafe chciał dogonić syna i opowiedzieć mu wszystko: dlaczego stary umarł opuszczony, dlaczego w czasie swoich ostatnich dni miał przy sobie tylko córkę i małego wnuczka. Tak, ale zwierzenie takie przyniosłoby tylko chwilową satysfakcję, zaś naprawdę byłoby znizeniem się do poziomu starego. A tak nisko Rafe nie miał zamiaru upaść.

Zasepiony podszedł do samochodu po derkę pod siodło i koc. Nie, nie mógł powiedzieć prawdy Tony'emu, wiedział, że chłopiec nie jest na nią przygotowany. To, co kazało mu milczeć, to właśnie była miłość.

Brr, gdyby Jeannie dowiedziała się, że ta rozmowa przybrała taki obrót! Od czasu spotkania z Rafe'em w San Antonio dzwoniła do niego dwukrotnie: raz, by powiedzieć, żeby zabrał ze sobą siodło, jeśli jeszcze je ma, i drugi, by zaprosić go na niedzielny obiad.

Rafe umieścił już wszystkie rzeczy w boksie. Uśmiechnął się na wspomnienie rozmów telefonicznych z Jeannie i zdenerwowania, jakie dało się wyczuć w głosie dziewczyny. Bardzo jej zależało, żeby pomiędzy nim a Tonym wszystko ułożyło się szczęśliwie. Cholera, i on tego chciał. Nauczył się jednak w sądzie, że najmniej wartościowe są rozwiązania łatwe. Im trudniejsza sprawa, tym większa radość z wygranej.

Czas i cierpliwość - oto są klucze do wszystkich drzwi. Tak jak prowadził obronę w procesach,, powoli, nieraz w wielkim trudzie - tak i teraz, krok po kroku, obroni wzajemną miłość swoją i swojego syna.

Mocno zatrzęsnał drzwi od stajni. Trzeba się będzie tłumaczyć Jeannie ze spóźnienia.

Odwrócił się i zobaczył ją, stojącą daleko, na schodach przed głównym wejściem do domu. Zaczęła iść w jego kierunku. Z dala wyglądała, jakby ciągle miała osiemnaście lat, a gdy podeszła bliżej, Rafe pomyślał, że wygląda nawet lepiej. Była taka kobieca i taka pociągająca!

Miała na sobie lekką, letnią sukienkę koloru brzoskwińowego; rysowała się pod nią cudownie jej wspaniała figura. Opinający piersi stanik sukienki związany był z tyłu na szyi w taki sposób, że całe plecy i ramiona pozostawały odkryte. Szczupłe kolana muskał obszuty lamówką fartuszek, a smukłe, zbrązowiałe od słońca stopy osłonięte były rzemiennymi sandałami.

Wiatr burzył jej włosy, falujące, niesforne splątane. Subtelny makijaż przydawał jej zamglonemu spojrzeniu tajemniczości, a ustom - zmysłowej pełni. Na jednym z nadgarstków skręcał się błyszczący, złoty wąż grubej bransolety, a ciężkie obręcze kolczyków kołysały się w rytm kroków.

- Nie mogę uwierzyć, że go jeszcze masz! - krzyknęła z daleka. Podeszła prosto do starego studebakera i pogłaskała gładki, lśniący zderzak.

Rafe spojrzał na jej dłoń, na długie, pieszczące blachę palce - i zaczął zazdrościć temu wysłużonemu gruchotowi.

- Trzymam go w garażu i wyprowadzam tylko na wyjątkowe okazje. Odwróciła się do niego.

- Cieszę się, że uważasz tę okazję za wyjątkową - powiedziała miękko. Gorąco zapragnął całować te pyszne wargi, lecz w ostatniej chwili dostrzegł, że nie są same. Na podwórko wtoczył się z hałasem pick - up; wysiadł z niego młody robotnik i zaczął wyładowywać ze skrzyni paszę dla bydła, którą potem nosił z mozołem do pobliskiego magazynu.

Rafe pogładził lekko kosmyk jasnych włosów, opadających Jeannie na ucho. Uśmiechnął się chytrze i wykonał zapraszający gest:

- Chcesz się przejechać?

- Och, bardzo!

Podszedł do drzwi i otworzył je.

- Pani, twój powóz czeka. Zanim wsiadła, zapytała jeszcze:

- A dokąd pojedziemy?

- Aaa... przejedziemy się trochę. Może do oficyny, gdzie będę mieszkał. Spuściła głowę, ale Rafe dostrzegł w jej chmurnych oczach rozczarowanie.

- Mówiłam ci już, że chcę, żebyśmy mieszkali razem w domu. Delikatnie ujął ją pod brodę.

- A nie zapominasz o czymś?

- O czym?

- O Tonym.

- Przecież będziesz miał własny pokój - powiedziała to z takim żalem, że Rafe aż nie mógł uwierzyć.

- A jak myślisz, czy będę mógł w nim usiedzieć, wiedząc, że jesteś tuż obok i że wystarczy tylko przejść przez korytarz?

- zapytał i zaraz pomyślał, że to kompletnie bez sensu. Po wszystkich tych latach rozłąki i bólu sam troszczy się teraz o coś, co jest zupełnie wbrew jego pragnieniom!

Jeannie przytuliła się do niego jak mały kotek do kotki.

- Jutro zacznie się znakowanie, Tony położy się dziś o dziewiątej...

Czuł na swej piersi małe, twarde pączki jej ciemnych brodawek. Jakże chciałby sprawić, by rozwinęły się w pełni!

- To byłby dla niego szok: mężczyzna, którego widział zaledwie raz w życiu - w łóżku matki!

- Dziś wieczorem powiem mu, kim jesteś - nachyliła ku niemu usta, czuł na twarzy jej gorący, burzący krew w żyłach

oddech. Wobec pożaru serca, jaki w nim wzniecała, powoli opuszczał go zdrowy rozsądek.

Nagle przypomniał sobie o spotkaniu z Tonym. Ochłonął od razu. Starał się myśleć trzeźwo.

- Posłuchaj mnie. On nie jest na to przygotowany. Nie wolno nam popełnić błędu. Jeannie dała za wygraną.

- Tak, chyba masz rację - powiedziała, wsiadając do samochodu.

- Na pewno mam rację - poprawił ją. Zamknął za nią drzwi i przeszedł na stronę kierowcy. Pozwoliła mu usiąść i dopiero wtedy spytała:

- Widziałeś się już z Tonym, prawda?

- Tak. Króciutko.

- No i co o nim myślisz?

Co miał jej powiedzieć? Wszystko wiedziała, czytała z jego twarzy jak z książki. Postanowił więc wykręcić się żartem.

- Ha, ten chłopak ma diabła za skórą!

Jeannie wybuchnęła śmiechem i właśnie o to chodziło.

- Jaki ojciec, taki syn!

- O Boże - mruknął Rafe i ruszył.

Przestała się śmiać, gdy zatrzymali się przed oficyną. Mężczyzna wyłączył silnik.

- Pomóc ci przenieść rzeczy? - spytała Jeannie.

- Nie, dziękuję. - Schował kluczyki do kieszeni. Odwrócił się przez ramię i wskazał na leżącą na tylnym siedzeniu niewielką walizkę.

- To wszystko co mam.

- Kiedy znów musisz być w sądzie?

- W środę.

- Ale na noc wrócisz, prawda?

Dostrzegł niepokój w jej głębokich, szarych oczach. No, nic dziwnego, zważywszy okoliczności, w jakich rozstali się

jedenaście lat temu... Uświadomił sobie, że nie tylko zaufanie Tony'ego musi zdobyć. Trzeba będzie też odnowić to, co łączyło go z Jeannie.

- O tak, wróć, i to z fajerwerkami i orkiestrą dętą! Jeannie podniosła rękę do klamki.

- Nie trzeba. Wystarczy jak strzelisz silnikiem.

Tym razem, na Boga, wszystko pójdzie dobrze. Tym razem nie będą czekali zmroku, aby się spotkać, nie będą się już bali, że ktoś ich zobaczy. Tym razem to on przyjdzie do niej.

- Poczekaj na mnie chwilkę - Rafe otworzył drzwi. - Zaniosę tylko torbę i odprowadzę cię.

Uśmiechnęła się, więc czym prędzej pobiegł na górę.

Domek stał pusty, jego poprzedni lokator ożenił się i wyprowadził. Rafe miał do dyspozycji dwa duże pokoje. Nic tu w niczym nie przypominało jego obszernego mieszkania nad biurem. W małej kuchence mieścił się zaledwie piecyk i skromny stolik, w łazience było akurat tyle miejsca, by można było się odwrócić, a sypialenka przypominała mniszą celę. Wszędzie było czysto i schludnie. A gdy Rafe wyjrzał przez okno i zobaczył czekającą na niego kobietę, stało się dlań jasne, że właśnie to jest jego dom.

- A to?

- Tony pierwszego dnia w przedszkolu i ja pierwszego dnia w college 'u. Rafe uśmiechnął się i powiódł po zdjęciu palcami.

- Wyglądasz bardziej na jego starszą siostrę albo dziewczynę do dziecka niż na jego matkę.

Jeannie wybuchnęła śmiechem.

- Ach, co to był za dzień! Jak tylko wyszykowałam go do wyjścia, musiałam natychmiast pozbierać książki i pędzić do samochodu.

Siedzieli na kanapie w pokoju stołowym. Lada moment Marta miała wołać na obiad, ale póki co oglądali album ze zdjęciami Tony'ego. Było tu wszystko, co wydarzyło się w jego życiu od chwili, gdy zaczął chodzić:

- Ojej, jaki maleńki! - zawołał Rafe. Potem pierwsze urodziny i świąteczny tort:

- Ale się wtedy upaćkał - jęknęła Jeannie. Potem pierwszy dzień szkoły.

- Musiało ci być ciężko - rzekł Rafe - zajmować się dzieckiem i uczyć się jednocześnie.

- Tak, było ciężko - Jeannie wspominała tamte trudne dni bez przykrości. - Ale powiedziałam sobie, że ukończę studia jeszcze w tym samym stuleciu co szkołę.

Roześmiał się z uznaniem i przewrócił kartę.

Jeannie spojrzała na zdjęcie - i zmieszała się.

Razem przeglądali ten album i razem przeżywali te same emocje. Dumę przy zdjęciach ich syna ze chrztu, łagodny smutek przy ostatniej fotografii psa Tony'ego, którego kilka dni później potracił na autostradzie samochód. Lecz zawsze, gdy trafiali na zdjęcia Tony'ego z dziadkiem - tak jak właśnie teraz - milkli.

Rafe, milcząc już do końca, obejrzał szybko resztę zdjęć i zamknął album. Jeannie odstawiła go na wbudowaną w ścianę wysoką półkę i wróciła na kanapę, żałując, że w ogóle zebrało się jej na rodzinne wspominki.

- Przepraszam - Rafe objął ją ramieniem i przytulił do siebie. - Po prostu przykro mi, gdy sobie pomyślę, że kiedy ja żarłem się w sądach, żeby uratować niewinnych ludzi od pójścia za kratki, ten człowiek, który mnie nienawidził, spokojnie sadzał na kucu mego własnego syna!

- Nic nie szkodzi, rozumiem cię. - Jeannie podkulila nogi i wtuliła się w ramię Rafe'a. - Ale przynajmniej na własne

oczy możesz się przekonać, że byli sobie bliscy. Było im ze sobą naprawdę dobrze.

Rafe zacisnął gniewnie usta, ale nic nie powiedział. Nie ma sensu krzyczeć na Jeannie. Był to, co by o nim nie mówić, jej ojciec, którego kochała. Rafe nie chciał się do tego przyznać, ale w jakiś sposób był przecież wdzięczny Wielkiemu Tomowi za miłość i opiekę nad Tonym.

Hmm, ale tylko „w jakiś sposób”. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. W końcu rzekł:

- Tak, może i byli sobie bliscy.
- Jak Butch Cassidy i Sundance Kid.
- Jak Cisco i Pancho.

Roześmiała się głośno, perliście i Rafe poczuł, że złość mu przechodzi. Mocniej ścisnął ją ramieniem, była przy nim tak blisko, tak cudownie blisko.

Siedzieli objęci obok siebie, wszystko dookoła zdawało się im sprzyjać. Rozwiewały się chmury wczorajszych żalów i goryczy, a w słońcu tego późnego popołudnia, sączącym się do pokoju przez białe drewniane żaluzje, dzień jutrzejszy jawił się radosny i szczęśliwy.

Kciuk Rafe'a wodził niespiesznie po nagim ramieniu Jeannie, a ona odwzajemniała tę pieszczotę, głaszcząc leniwie jego spiżowe, wspaniale umięśnione uda.

- Chcę ciebie - nachylił się nad nią i, patrząc jej prosto w oczy, powiedział to bez ogródek, nawet nieco brutalnie.

Podniosła ku niemu głowę i uśmiechnęła się. Powiedziała miękko, łagodnie:

- Jestem twoja.

Pocałował ją. Cudownie pieścił językiem jej wargi, muskał je i ssał, doskonale wiedząc, jak wzbudzić w niej miłosny poryw. Jeannie jęknęła cicho i poddała mu się cała, dając i biorąc; jej wargi były równie głodne i równie jak jego gorące.

Ośmielił się sięgnąć do jej piersi; jego niespokojna dłoń delikatnie głaskała i pieściła. Wzburzył palcami jej włosy, świeże jak żonkile, jedwabiste i bujne. Smukłe palce Jeannie raz jeszcze zagościły w nieznanym wciąż królestwie ucha Rafe'a, gdzie królował srebrny kolczyk, a w chwilę później zabłądziły ku wspaniałej szyi oraz świetnej rzeźbie potężnych ramion i pleców. Nawet gdy podnieśli na chwilę głowy, by zaczerpnąć oddechu, ich obdarzone własnym życiem ręce nie ustawały w miłosnej pieśni dotyku.

- Och, Cisco - wyszeptała mu wprost w usta. Rafe wierzchem dłoni ocierał i delikatnie naciskał jej pierś, aż zakwitła dojrzałą maliną sutka.

- Och, Pancho - westchnął, gdy nakryła dłonią wzbierające w nim potężne pożądanie.

Szczęśliwi, patrzyli sobie w oczy. Czułość ich spojrzeń zdolna była pokonać jedenaście lat wygnania i samotności. W milczeniu objęła go za szyję i mocno przycisnęła do piersi. I on ją objął swymi szerokimi, silnymi ramionami, jakby chciał upilnować, by nic nigdy już mu jej nie odebrało.

Byli jednym ciałem i jedną duszą. Pochylili równocześnie głowy, szukając wzajem swych ust.

Trwali oboje w milczącym uniesieniu i zdawało im się, że ich bijące zgodnym rytmem serca są całym światem. Lecz nagle zdali sobie sprawę, że słyszą coś jeszcze. Były to odgłosy kroków, najpierw szybkie, potem coraz wolniejsze, wreszcie przed drzwiami pokoju ustały. Odsunęli się od siebie. Para błękitnych jak niebo oczu wyrażała oburzenie i żal - patrzył na nich ich syn.

- Obiad - powiedział szorstko.

Rozdział 10

Obiad był katastrofą.

Jedzenie było wspaniałe. Pieczeń, którą przygotowała Marta, była krucha i soczysta, a podane do niej ziemniaki z masłem - tak puszyste, aż rozpływały się w ustach. Do tego mięciutkie, gotowane na parze bułeczki oraz doskonały, pikantny sos mięsny. A ciasto orzechowe wygrałoby nawet cukiernicze mistrzostwa świata!

Nie, to nie chodziło o jedzenie. Jeannie z trudem mogła cokolwiek przełknąć. Język odmawiał jej posłuszeństwa, gardło miała suche jak pieprz. Chodziło o zachowanie się przy stole mężczyzn, o to, co do siebie mówili, a raczej, czego nie mówili.

Rafe usiłował wziąć byka za rogi. Zarzucił Tony'ego setką pytań o szkołę: jakie są jego ulubione przedmioty, nauczyciele, jakie lubi sporty. Ale Tony, który zazwyczaj mógłby mówić choćby i do stołowej nogi, dukał coś monosylabami. A i Rusty, i tak zwykle niezbyt gadatliwy, milczał przez cały czas jak grób.

Jeannie marzyła, że ten weekend stanie się punktem zwrotnym, że spotkanie ojca i syna zaowocuje trwałą rodzinną więzią. Marzyła, by od tego dnia rozpoczęło się normalne, szczęśliwe życie. Przecież ona i Rafe potrafią wykorzystać swą drugą szansę, która trafiła im się tak niespodziewanie!

Ale nie wzięła pod uwagę niechęci Tony'ego.

Chłopiec ciągle tęsknił za dziadkiem. Musiał być zdziwiony, widząc matkę przytulającą się do człowieka, którego ledwo znał. Ale przyczyną jego zachowania nie było zdziwienie czy nawet szok. To była, jak z obawą przypuszczała Jeannie, uraza.

Podniosła do ust filiżankę z kawą i napotkała wzrok Rafe'a. Siedział naprzeciw niej, w białej, jak tego sobie życzyła, koszuli, w której było mu tak do twarzy. Do tej

śniadej, spalonej słońcem twarzy, na której teraz malowało się cierpienie. Jeannie także cierpiała. Serce krwawiło jej na myśl, że ich rodzony syn go nie lubi.

Spuściła oczy i odstawiła filiżankę. I nagle, patrząc na delikatny wzór z żółtych kwiatków na porcelanie, przypomniała sobie coś, o czym zresztą myślała już wcześniej.

Podniosła oczy i powiodła nimi dookoła. Na ustach pojawił się uśmiech nadziei.

- Czy ktoś z was wie, skąd wzięła się żółta róża na grobie matki? - spytała. Rafe przecząco pokręcił głową. Tony wzruszył ramionami i obojętnie wrócił do

swej zabawki: widelca huśtanego na wyciągniętym palcu. Było oczywiste, że czeka na zakończenie obiadu, by móc wreszcie odejść. Rusty rozlał kawę i szpetnie przeklął artretyzm, który czynił go tak niezgrabnym. Zaraz jednak opanował się i przeprosił za niecenzuralne słowa.

Marta pospieszyła mu z pomocą. Obejrzała najpierw rękę, czy aby nie poparzona, a następnie wyciągnęła z kieszeni fartucha papierowy ręcznik i wytarła ze stołu brązową kałużę.

- Co? Jakaś nowa róża? - spytała, napełniwszy Rusty'emu filiżankę nową porcją kawy.

- Tak, od wczorajszego ranka.

Jeannie zobaczyła kwiat z okna sypialni. Nie było to znowu nic nowego. W każdą sobotę, od ponad jedenastu lat, na grobie Laurindy Crane pojawiała się jedna żółta róża. Dziewczyna zapomniała o niej, ale później, w ciągu dnia, zaczęła zastanawiać się nad jej tajemniczym pochodzeniem. Skąd brały się te róże? Przecież Wielki Tom już nie żył. Chyba, że z za grobu...

- W kwiaciarni w Bolero powinni coś wiedzieć - podsunął Rafe.

- Dzwoniłam tam wczoraj po południu - powiedziała Jeannie. - Myślałam, że może Wielki Tom miał u nich stałe zamówienie i trzeba je teraz odwołać. No i zapłacić rachunek.

- I co ci powiedzieli?

- Że Wielki Tom nigdy nie zamawiał u nich róż. Marta spojrzała na nich zaintrygowana.

- Hmm, to dziwne.

- Prawda?

- A dlaczego dziadek miałby kłaść babci na grobie różę? - Tony był najwyraźniej zaciekawiony, skoro nareszcie odezwał się pełnym zdaniem.

„O tak, to dobre pytanie” - pomyślała Jeannie. Niestety, nie znalazła na nie żadnej sensownej odpowiedzi.

Bezradnie wzruszyła ramionami i powiedziała:

- No... bo był jej mężem.

- No tak, ale może jeszcze ktoś...

- Przepraszam - przerwał im Rusty. Odsunął krzesło i wstał od stołu. - Mam na głowie dwie setki ryczących cieląt, pewnie będę musiał zostać przy nich na noc.

- Czy mogę spać z tobą? - Tony nie był z Rustym aż tak blisko jak z dziadkiem, ale chęć przeżycia przygody była silniejsza nade wszystko.

- Nie dziś.

- A kiedy?

Rusty uśmiechnął się - trochę smutno, jak wydawało się Jeannie - i pogładził chłopca po głowie.

- Może we wtorek albo w środę, jeśli będziesz naprawdę uczciwie pracował, no i oczywiście jeśli mama się zgodzi.

- Najlepiej w środę - powiedziała Jeannie. Pamiętała, że tego dnia Rafe zajęty będzie w sądzie i że prawdopodobnie przyjedzie bardzo późno. A obiecał, że wróci z fajerwerkami i orkiestrą...

- Świetnie - zgodził się Rusty. Życzył wszystkim dobrej nocy i wyszedł.

- Aaaa! - Tony ziewnął potężnie. Jeannie wiedziała, że jest podniecony perspektywą spędzenia nocy z pasterzami pod namiotem. - Ja chyba też już pójdę spać.

Marta przypomniała, że śniadanie jest jutro o wschodzie słońca. Sprzątnęła ze stołu talerze i filiżanki i zniosła je do kuchni. Jeannie zacisnęła zęby.

- Ten szczeniak nawet mnie nie pocałował na dobranoc! - wycedziła. Drzwi do znajdującej się na piętrze sypialni Tony'ego zatrzasnęły się z hukiem.

Rafe pochylił się nad stołem i wziął ją za rękę.

- Wiesz, on chyba jest wściekły na nas oboje.

- Dlatego że widział nas razem? - Gapiła się na guziki jego koszuli.

- Nie tylko - odparł ponuro. Był tak samo zdenerwowany jak ona.

- A cóż jeszcze mogło mu strzelić do głowy?

- Siedzę na miejscu Wielkiego Toma. A ty mnie tu sprowadziłaś.

Jeannie patrzyła w zadumie na wielką dłoń, nakrywającą jej małą rączkę. Rafe miał starannie utrzymane paznokcie i długie, szczupłe palce. Pod smagłą skórą zaznaczała się błękitna siateczka żyłek.

- I co teraz zrobimy? Pogłaskał ją w zamyśleniu.

- Chyba lepiej odłożyć to na jakiś czas.

- To znaczy na jak długo?

- Hmm, na kilka dni.

- I nocy - westchnęła.

- Niestety tak.

- Co myślisz o wysyłaniu dzieci do krewnych na wiosnę? Rafe roześmiał się. To było niezłe.

- Ha, podróże kształcą.

- Spakuję jego rzeczy - wprawdzie żartowała tylko, ale jakby się nad tym dobrze zastanowić...

Wsunął palec w piąstkę dziewczyny i połaskotał, aż podskoczyła na krześle.

- A ja odwiozę go do ciotki, do Houston - rzekł.

Ani się spostrzegli, jak ich rozmowa przerodziła się w pieśczoły. Zapomnieli o krnąbrnym Tonym, patrzyli sobie w oczy, tęsknili do siebie i pożądali się wzajemnie. Ale w pewnej chwili Rafe puścił dłoń Jeannie i rzekł ze smutnym uśmiechem:

- No cóż, jeśli jutro mamy wstać do krów, to dziś trzeba iść spać z kurami. Wstał od stołu i odstawił krzesło, uważając, by nie narobić hałasu. Jeannie

patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Co... wychodzisz?

- Odprowadzisz mnie? - Obszedł stół i zbliżył się, by pomóc jej wstać. Cóż mogła mu odrzec.

- Tak, oczywiście.

Nie zatrzymała się w drzwiach, wyszła z nim na zewnątrz, na ganek. Słońce zaszło już, na niebie żarzyła się tylko gasnąca zorza. Okrągły złoty talerz księżycy świecił matowo w otoczeniu słabych jeszcze gwiazd. Teksański wietrzyk owiewał im twarz ciepłą obietnicą pięknego poranka.

To był wieczór czułych pożegnań; w takie wieczory kochankowie tulą się do siebie w smutku rozstania i szepczą słodkie zaklęcia, które wiatr unosi w dal.

Jeannie spodziewała się pocałunku Rafe'a; aż drżała z niecierpliwości. Lekko przechyliła w tył głowę i zwilżyła usta językiem. Osłupiała zatem, gdy wziął ją pod brodę i powiedział miękko:

- Dobrej nocy.

Potem odwrócił się i szybko zbiegł po schodach w gęstniejący mrok. Kompletnie zbита z tropu długo za nim

patrzyła. Uświadomiła sobie, że zaczynanie od początku też może mieć swoje wady.

Zapalone przed chwilą w oknie sypialni światło sączyło się na zewnątrz przez drewnianą żaluzję cieniutkimi smużkami. Żaluzja rozchyliła się. W oknie stała kobieta. Miała na sobie nocną koszulę z białego jedwabiu; wspaniałe, złote włosy rozsypywały się na nagich ramionach. Stała bez ruchu, zapatrzona w ciemność, z pochyloną lekko głową - nasłuchiwała czegoś... może jakiegoś znaku?

Znad dalekiego strumienia dobiegał głośny koncert żab. Lelki śpiewały swą późną kołysankę drzemiącemu na łąkach bydłu i samotnym kowbojom. Cykady szemrały sennie.

Lecz poza tym - wszędzie było cicho.

Mężczyzna zamarł nieruchomo. Stał pod oknem, dobrze ukryty w cieniu niskich, rozłożystych gałęzi drzew; prostokątne oko padającego z sypialni światła nie mogło go zobaczyć. Obracał w dłoni kamyk, wyczuwając palcami jego gładką, chłodną powierzchnię. Wystarczy tylko rzucić nim o szybę - a kobieta natychmiast zbiegnie tu, do niego.

Ale nie mógł rzucić. I nie mógł odejść. Stał nieruchomo, zaczarowany pięknem, niepodzielnie władającym jego duszą.

Jej jasne, starannie wyszczotkowane włosy lśniły, tworząc wokół twarzy świetlaną aureolę i spływając miękkimi falami na ramiona. Lekki, zwiewny jak mgiełka jedwab nocnej koszuli uwypuklał się wyraziście na piersiach, zebrany pod nimi wstążką związaną w białą kokardę. Gładką powierzchnię tej bajkowej szaty ozdobiły małe, zaznaczone światłocieniem gwiazdki na czubkach piersi i, nieco niżej, zakłęśnięty księżyc pępka.

Cała postać była wcieloną melodią linii: łagodny, łabędzi śpiew bioder, rondo brzucha, czuły nokturn łona...

Kamyk w ręku mężczyzny stawał się coraz cięższy i cięższy...

Kobieta stała jeszcze chwilę, nasłuchując. Potem odeszła od okna i zgasiła światło.

Mężczyzna patrzył w ciemne okno. Ze złością odrzucił ten przeklęty, głupi kamyk i cofnął się w mrok.

Rozdział 11

- Mogę i ja spróbować? - Błękitne oczy błyszcząły z podniecenia. Tony sięgnął po leżące w ognisku, rozgrzane do czerwoności żelazo do znakowania.

- Nie! - krzyknął Rafe; rzucił się do malca i w ostatniej chwili złapał go za nadgarstek.

Serce waliło w piersi Jeannie jak młot. Tak mało brakowało, żeby Tony okropnie poparzył sobie ręce. Zdenerwowana, starała się jednak mówić spokojnie:

- Kochanie, zapomniałeś włożyć rękawice! Tony zaczerwienił się.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął parę grubych rękawic roboczych, którą dostał jeszcze przed obiadem.

Obóz był pełen ruchu i gwaru. Kurz wzbijał się w powietrze i drażnił nozdrza ludzi i koni. Młode cielaki lgnęły do swych matek, krowy nachylały się nad potomstwem. Gorące popołudniowe słońce przypiekało zajętych znakowaniem mężczyzn, bezlitośnie prażąc odsłonięte ramiona i plecy.

- Spróbuj teraz - Rafe popchnął uzbrojonego w rękawice Tony'ego w kierunku ogniska. Cielak leżał już na ziemi; znak na jego skórze powinien być wyraźny, ale nie za głęboki.

Chłopiec nie ruszył się z miejsca. Spuścił głowę i rył w ziemi czubkiem buta. Może onieśmieliła go dopiero co popełniona gafa, a może był już po prostu zmęczony. Pokręcił przecząco głową.

- Rusty mi pokaże.

- Daj spokój. Przecież wiesz, że Rusty szczepi cielaczki i ma pełne ręce roboty. - Jeannie wiedziała, że nie powinna się teraz mieszać. Ale te jego wieczne dąsy! Jej cierpliwość już się wyczerpywała. - Więc niech Rafe...

- Poczekam na Rusty'ego - przerwał jej Tony ponuro. Odwrócił się i odszedł. „Spryciarz” - pomyślała Jeannie. Patrzyła za nim. Tony doskonale wiedział, że

nie potrafiła długo się na niego gniewać. Poszedł w kierunku miejsca, gdzie klęczał Rusty, i zatrzymał się opodal. Prowadził z Jeannie i Rafe'em swoją prywatną wojnę i instynktownie robił wszystko, by ich rozdzielić.

Rafe zadziwiająco dobrze radził sobie z humorami Tony'ego. Jeannie odnosiła wrażenie, że się nimi zbyt nie przejmował. Wyjął z ognia rozgrzane żelazo i pewnym ruchem przytknął je do skóry dorodnego cielaka rasy Hereford.

- Dobra, puść - dał znak chłopakowi przytrzymującemu ryczące zwierzę. Cielak zerwał się z ziemi i uciekł do matki. Na jego boku widniał wyraźny, czarny znak Koła C. Chłopcy przyciągnęli już następnego, tak samo ryczącego i wyrwijącego się, obalili na ziemię i przytrzymali. Najpierw szczepionka, potem żelazo do znakowania - i następny.

Jeannie nie przyglądała się specjalnie temu, co się wokół niej działo. Myślała o Rafe i Tonym. Widziała, że trzymają się od siebie z daleka, są grzeczni, ale raczej milczący. Ach, jakby huknęła na jednego i na drugiego, aż by im w pięty poszło! Odechciałoby się Tony'emu dąsów, a Rafe miałby się z pyszna za ten swój dumny stoicyzm. Ojciec i syn byli zgodni tylko w jednym: ranili jej serce.

„Trzeba coś zrobić, bo inaczej chyba oszaleję” - pomyślała.

- Zajmij się teraz blaszkami na uszy - poleciała jednemu ze znakujących. - A ja jadę zobaczyć, czy jakieś bydło się nie zgubiło. - Odwiązała konia, skoczyła na siodło i wyjechała z obozu.

To nie był tylko wykręt. Z każdego stada odłączało się kilka sztuk bydła i jeśli teraz nie objęłoby ich znakowanie,

byłoby z nimi później mnóstwo kłopotu. Jeannie wiedziała, gdzie są ulubione kryjówki cielaków. Pojechała w kierunku rozciągających się niedaleko skalistych wzgórz, porośniętych karłowatymi dębami i drzewami meskitowymi. Postanowiła też przeszukać brzegi strumienia, płynącego wśród krzywych cyprysów i płaczących wierzb.

Podczas godzinnego buszowania po krzakach nie natknęła się wprawdzie na żadnego zabłąkanego cielaka, za to znacznie się uspokoiła. Gdy zbliżała się do strumienia, kasztanka, o którą Jeannie dbała od dzieciństwa i którą sama ujeżdżała, zarżała cicho i szarpnęła uzdę.

- Co, napijemy się? - Jeannie zeskoczyła z siodła i ruszyła w kierunku srebrzącej się za drzewami wody.

Klacz piła, głośno siorbiąc i prychnając; Jeannie także poczuła pragnienie. Zsunęła z głowy słomkowy kapelusz i rzuciła go na trawę. Rozpuściła włosy i potrząsnęła głową, szczęśliwa i swobodna. Zawinęła rękawy koszuli, położyła się na brzuchu i piła wprost ze strumienia.

Woda była zimna, pachnąca wiosną i tak czysta, że doskonale widać było różnobarwne kamyczki wyściełające dno.

Nagle kasztanka szarpnęła uzdę. Była zaniepokojona - strzygła uszami i odwracała łeb, wodząc wielkimi, brązowymi oczami po krzewach. Jeannie wstała, by poklepać ją po szyi, i wtedy usłyszała tętent końskich kopyt. Ktoś szybko się zbliżał.

Rafe widział Jeannie już z daleka. Ściągnął teraz wodze czarnego wałacha, którego dziś rano wybrał sobie z zagrody, i pojechał stępą. Siedział na siodle pewnie i prosto, był świetnym jeźdźcem, z łatwością dawał sobie radę z każdym koniem.

Wjechał na polankę nad strumieniem. Wyglądał pięknie, jak comanchero, których pełno było w tych stronach w czasach, gdy zdobywano Dziki Zachód. Głowę obwiązał

czerveną chustą bandanna, by podczas jazdy długie włosy nie wpadały mu do oczu. W skórzanej pochwie przyczepionej do pasa błyszczał wielki nóż. Długo nie golone policzki obsypane były czarnym zarostem. Uśmiechnął się do Jeannie, pokazując śnieżnobiałe zęby.

- O, złapałem cię na gorącym uczynku!

Zeskoczył lekko z siodła i bez pośpiechu podszedł do dziewczyny. Jeannie wzruszyła ramionami.

- Rozglądam się, czy aby nie ma tu jakiegoś marudera.

- I co, znalazłaś? - oczy błysnęły mu przewrotnie, kusicielsko. Sięgnął do jej koszuli i otrzepał ją na piersi ze źdźbeł trawy.

- Nie... żadnego - powiedziała łamiącym się głosem. Rafe otrzepywał ją dalej, sięgnął teraz do brzucha.

- Acha... - przesunął kciukiem po guzikach, od brzucha aż do szyi i wyjął schowaną za kołnierzykiem trawkę.

- Mmmm - wymruczała Jeannie, by podtrzymać tę... rozmowę.

Wolno, systematycznie Rafe czyścił całą jej koszulę. Dotykał, muskał swymi smagłymi palcami; czuła je na sobie - i było to bardzo podniecające.

Przez cały dzień ani na chwilę nie zostali sami. Przy śniadaniu mieli na głowie z pół tuzina głodnych chłopaków od bydła, w stajni uwijał się Rusty, podczas znakowania - szkoda gadać!

A teraz byli tu tylko oni: Rafe i Jeannie. Mężczyzna i kobieta.

- Chodź do mnie - to był rozkaz. Posłuchała.

Tym razem nie objęli się czule. Rafe był gwałtowny; złapał ją ręką za kark, drugą objął w pasie i szarpnął ku sobie. Mięśnie grały mu pod napiętą skórą. Jeannie wbiła mu w plecy paznokcie, wiła się w jego żelaznych ramionach.

Tym razem nie było łagodnego pocałunku, o jakim marzy każda omdlewająca nastolatka i każdy niezręczny chłopak. To była dorosła, wściekła namiętność, szaleńcza, zapierająca dech w piersiach, gryząca zębami pasja.

Jeannie rozkoszowała się dziką namiętnością Rafe'a. Pachniał ostro, stajnią i końskim potem, jego usta i skóra miały smak soli. Czuła jego potężne jak młot kowalski serce. Jego żądza była nieokiełznana, gwałtowna i brutalna, jak pchnięcie nożem.

Sczepieni, wpijając się w siebie ustami, padli na trawę nad strumieniem. Rafe przechylił Jeannie do tyłu; poddała się biernie. Nie dał jej chwili wytchnienia, przydusił ją całym swym potężnym ciałem, a ona, pchana miłosnym instynktem, rozwarła uda. Przywarł do niej biodrami, był gorący i wyzywający, był cudowny!

Całowali się nieprzytomnie, aż do utraty tchu. Rafe podniósł wreszcie głowę, dyszeli oboje, patrząc sobie w oczy. Oczy głodne, oczy zakochane, szafirowe oczy na smagłej twarzy, siwe oczy lśniące starym srebrem spod wpół przymkniętych powiek.

- Wczoraj wieczorem nasłuchiwałam, czy nie przyjdiesz - wyszeptała Jeannie.

- Widziałem cię w oknie.

- Dla... - ugryzła się w język. Nie spytała, dlaczego jej nie zawołał. Odpowiedź mogła być tylko jedna: przecież Tony, śpiący tuż obok jej sypialni, mógłby się obudzić. - O czym myślałaś?

Rafe uniósł się i usiadł na piętach. Uśmiechnął się. Był zachwycająco męski.

- Nie mogłem oderwać od ciebie oczu. Chciałem mieć cię blisko przy sobie. Pochylił się, wyciągnął jej koszulę ze spodni i zabrał się do rozpinania guzików.

Szybko uporał się z nimi - i gromko się roześmiał. Zmarszczyła brwi.

- Co cię tak bawi?

Powiódł dłonią po uroczym, koronkowym staniku, zaczepiając żartobliwie palcem o ramiączko.

- Och, Jeannie, tylko ty mogłaś wystroić się w koronki, idąc do krów! Uniosła nogi i zgięła je w kolanach za jego plecami, biorąc go w kleszcze.

- Ale spójrz, jakiego wspaniałego zabłąkanego cielaka złapałam! Pociągnęła go na siebie, a on, wsparłszy się na łokciach, nie bawiąc się w żadne

skomplikowane rozpinanie, zsunął płytkie koronki z jej piersi. Odłonił precudny, alabastrowy biust - i długą, długą chwilę sycił się tym do szaleństwa zachwycającym widokiem. Jeannie jęknęła cicho, gdy schylił głowę i ostrożnie, pomagając sobie ręką, wziął do ust pyszną soczystą borówkę, rosnącą pod wpływem szorstkości jego języka.

Jej ciało wygięło się w łuk, ramionami otoczyła głowę Rafe'a i tuliła do siebie mocno, mocno. Ssał ją jak mały piesek, czuła jego ruchliwy język, jego twarde, smoktające wargi, ciepło jego ust. Jęczała przeciągle, krzyknęła, kręcąc nieprzytomnie głową, gdy lekko złapał ją zębami.

Sięgnął teraz do drugiej piersi, ogrzewał ją swym oddechem i tulił czule jak zapomnianego, samotnego kotka. I ten kotek obudził się wkrótce, poruszony pieśczętą jego ust, i całował je swym wilgotnym, różowym pyszczkiem.

- Och, moje słodkie ... - szeptał Rafe. - Chodźcie do mnie... dulce... dulce. Jeannie odchodziła od zmysłów. Był z nią, przy niej, kochał ją - on, jej jedyny mężczyzna, jej jedyna i wieczna miłość!

Zsunęła mu z głowy chustę i zanurzyła dłonie w długich włosach. Były jak czarny jedwab. Podniosła głowę i ustami szukała zachwycającego kolczyka. Niecierpliwie rozpinęła

guziki jego koszuli, pospiesznie odsłaniała pięknie sklepioną, pokrytą miękkim puchem pierś.

Rafe szeroko otworzył usta, łapiąc gwałtownie powietrze. Przymknął z lubością oczy, gdy jej palce zagrały wibrujące attacca na drobnych brodawkach jego szerokiego torsu. Szukał jej warg, połykał jej język, pochłaniał ją, dawał jej smakować swoje podniebienie i sam sięgał głęboko w jej wonne, rozwarte, spragnione usta.

Nagle oderwał się od jej warg. Jego oczy płonęły dzikim, najdzikszyim pożądaniem.

- Jeannie, pragnę cię.

- Ja też ciebie pragnę - powiedziały bezgłośnie jej usta. Namiętność wzbierała w niej potężną, zdolną strzaskać wszelkie bariery falą.

- Jesteś jeszcze piękniejsza, niż pamiętam - szeptał Rafe. Pochylał się nad cudem jej ciała, jego ręce i usta obsypywały ją hojnie niewyczerpanym bogactwem miłości. Szedł krętą ścieżką wśród rozgrzanej, pachnącej łąki, łapiąc w dłonie, całując i znów wypuszczając na wolność rzadkie owady: oto drgający sennie i kołyszący się nisko bąk jej piersi, oto wałka jej brzucha o szerokich, gładkich skrzydłach, oto wreszcie zalękniona nieco i wstydliva, urocza ćma ze zwiniętą, mokrą trąbką.

- I ty jesteś jeszcze piękniejszy - Jeannie nie mogła się nacieszyć jego silnie zbudowanym, sprężystym i zwinnym ciałem.

Gdy obrócił ją na plecy i przywarł do niej ciasno, miała wrażenie, że czas zatoczył koło. Nie liczyły się już ich stracone lata, liczyło się tylko szczęśliwe pojednanie. Poruszyła biodrami słodko, melodyjnie i wzięła go w siebie tak łagodnie, jak poranek brany jest przez dzień.

Rafe zatrzymał się na moment.

- Myślałem już, że ty i Webb...

- Nie - uśmiechnęła się z miłosnym zniecierpliwieniem i lekko zahuśtała pod nim, szukając punktu, z którego oczy patrzą już tylko w nieskończoność. - Chodź do mnie. Chcę cię całego.

Spotkali się w ogrodzie przy źródle.

I był dla niej opisaniem świata, snem mocnym jak płomień.

I była dla niego szczęśliwą połówką bólu.

- Zrobiłem ci krzywdę?

- Nie, dlaczego?

Rafe pochylił się nad Jeannie i scałował płynące po policzkach łzy.

- Płaczesz.

Położyła mu palec na ustach.

- To łzy radości, głuptasie.

Zmarszczył brwi i lekko chwycił jej palec zębami.

- Może dwa razy to za dużo?

- Nic podobnego. - Przytuliła się do niego i uśmiechnęła.

Kochali się, potem trochę się wygłupiali i po kąpieli w zimnym, czystym strumieniu kochali się jeszcze raz. A później leżeli obok siebie spleceni, rozkoszując się swą nagością i bliskością.

Ale wszystko, co dobre, musi się kiedyś skończyć. I choć żadne z nich nie chciało o tym myśleć, wiedzieli oboje, że ta godzina, która dla ich zakochanych serc była jedynie chwilą, nieubłaganie mija.

Jeannie bała się nawet poruszyć, nie chcąc płoszyć szczęścia. To Rafe zdecydował się pierwszy. Zebrał wilgotne włosy z jej twarzy i całował pieśczołtliwie brwi. A potem, niechętnie i z ociąganiem, uwolnił się z jej ramion i, ciągnąc ją za rękę, pomógł wstać.

- Jeśli się stąd nie ruszymy - powiedział, ubierając się szybko - Rusty na pewno wyśle kogoś na poszukiwania.

- Gorzej nawet. - Sięgnęła po bieliznę. - Tony może już nas szuka.

- To możliwe. - Zapiął zamek spodni, ale na zapięcie koszuli nie tracił czasu. - O Boże, nie pozwól by nasz syn znowu znalazł nas razem.

Stali o krok od siebie, ale Jeannie czuła wyraźnie, jak z sekundy na sekundę stają się coraz bardziej sobie obcy.

Oboje się przestraszyli. Jeannie wyrzucała sobie teraz, że w ogóle ten temat poruszyła. Ubierała się w pośpiechu, zastanawiając się, jak zatrzeć to nieprzyjemne wrażenie.

Rafe podniósł z ziemi czerwoną chustę i zawiązał ją na głowie.

- Muszę ci coś powiedzieć. Kiedy dowiedziałem się, że jestem ojcem Tony'ego, chciałem cię udusić.

Jeannie zadrżała. Wiedziała, że Tony swym zachowaniem rani Rafe'owi serce i że Rafe cierpi nie mniej niż ona.

- A teraz? - gardło miała ściśnięte.

Spojrzał na nią ponuro, przypominał jej Tony'ego w złym humorze.

- A teraz chcę stąd, do cholery, wyjechać, zanim on mnie zamorduje tym swoim spojrzeniem!

Jeannie nie przypuszczała, że Rafe tak bardzo potrzebuje miłości Tony'ego. Zawiódł się boleśnie. Tony dopiekł mu do żywego. Próbowwała bronić chłopca.

- Słuchaj, Rafe. On potrzebuje trochę czasu.

- On miał już mnóstwo czasu, Jeannie.

- Dwa dni?

Zmysłowe usta Rafe'a, które jeszcze przed chwilą dawały jej najwspanialszą rozkosz, wykrzywiły się gorzko.

- Wystarczająco długo, żeby poczuł do mnie nienawiść.

- Ależ on nie czuje do ciebie nienawiści!

- Mylisz się.

- To tylko mały, zagubiony chłopiec...

- Ale potrafi dać się we znaki.
- Daj spokój, on jeszcze się zmieni...
- Prędkiej mi kaktus na dłoni wyrośnie.

Jeannie cała się trzęsała. Próbowwała się opanować, skrzyżowała ręce na piersiach. Rafe stał naprzeciw niej, nieruchomy, sprężony jak do skoku. Czekala, co jeszcze ma jej do powiedzenia.

Odezwał się wreszcie.

- Postanowiłem nie ubiegać się o stanowisko senatora.

To był grom z jasnego nieba. Jeannie nie wierzyła własnym uszom. Stała bez ruchu i gapiała się oszołomiona. W końcu krzyknęła:

- Co takiego?!
- Słyszałaś, co powiedziałem.

Pokręciła z niedowierzaniem głową, to było niemożliwe.

- Ale...

- Nie ma żadnego „ale” - powiedział zdecydowanie, ucinając wszelką dyskusję. Zrozumiała, że żadne przekonywanie nie ma już sensu. To było postanowione.

- W środę, jak tylko wrócę do sądu, mam zamiar zwołać konferencję prasową i rozwiązać mój sztab wyborczy.

- A więc punkt dla Wielkiego Toma - wyrwał się jej. Nie chciała tego powiedzieć, ale tak to rzeczywiście wyglądało.

Rafe rzucił jej gniewne spojrzenie.

- A to co ma znaczyć?

- Kiedyś Wielki Tom przeczytał w gazecie artykuł, prezentujący cię jako kandydata w wyborach - ten, w którym mówiłeś, że biegasz dużo dla relaksu...

- Tak, tak, pamiętam.

- Powiedział wtedy, że zamiast ubiegać się o fotel w Senacie, powinieneś raczej biegać w maratonie.

Rafe zmrużył oczy, usta zaczęły mu drgać.

- Cholerny sku...

- Twierdził, że to raczej z nóg będziesz miał pożytek niż z całego swojego wykształcenia.

- Słuchaj, nie będę tu stał i wysłuchiwał!... - Rafe odwrócił się do Jeannie plecami i poszedł po swojego konia.

- Tylko mi nie mów, że jesteś obrażony! - krzyknęła za nim. - Po tym co mi tu powiedziałaś!?

Zatrzymał się w pół drogi. Jego błękitne oczy były zimne jak lód, a wyraz twarzy ostrzegał dziewczynę, że przeciąga strunę. Ale nie zwracała na to uwagi.

- Cholera, jesteś mi coś winien! - nerwowo odgarnęła włosy z czoła. - Kocham cię. Jesteś ojcem mojego syna. Przed chwilą kochaliśmy się po raz pierwszy od jedenastu lat. Więc mógłbyś przynajmniej wyjaśnić mi, dlaczego chcesz za jednym zamachem przekreślić to, co budowałeś przez całe życie!

- Nie jestem ci winien nic oprócz alimentów za dziesięć minionych lat i za osiem przyszłych - syknął. Nozdrza mu drgały, mrużył oczy. - Oczywiście dołączę do tego odpowiednią sumę na studia Tony'ego, jeśli on w ogóle będzie chciał studiować.

Jeannie zachwiała się, jak uderzona. W oczach miała łzy. Rafe odwrócił się; patrzyła jak odchodzi. Nagle poczuła, jak wzbiera w niej potężna fala gniewu i rozżalenia. Utrata matki, podłość ojca, nieufność syna, złe traktowanie jej przez mężczyznę, którego zawsze i ponad wszystko kochała! Miała już tego dość! Coś w niej pękło, coś się w niej załamało.

- O tak, bój się, uciekaj! - wołała drwiąco, jej twarz wykrzywiła się w strasznym grymasie, łzy ciekły po policzkach, ocierała je z niecierpliwością. - Bo jeszcze mógłbyś narobić sobie kłopotu z urzędem imigracyjnym! Bo jeszcze mógłbyś zaczerwienić się na spotkaniu z wyborcami, którzy wybaczyliby ci młodzieńczą lekkomyślność, gdybyś opowiedział, jak zostałeś potraktowany!

- A żebyś wiedziała, tak właśnie będzie. Ale co potem? - obrócił się w siodle, jego uśmiech był lodowaty. - Powiedzmy, że zrzucę ten ciężar z piersi. I co dalej? Mam stać bezczynnie i patrzeć, jak prasa rzuca się na ciebie i Tony'ego i rozrywa was na strzępy?

- Poradzę sobie z tym. Razem sobie poradzimy. My dwoje, działając wspólnie, obronimy Tony'ego przed najgorszym.

- Jestem już zmęczony bronieniem obcych ludzi - powiedział sucho.

- Alą Tony jest twoim synem!

- W sensie biologicznym - tak.

- Co... co takiego?

- Pod każdym względem Tony jest synem Wielkiego Toma - mówił dobitnie, pochylając się w siodle. - Jest Crane'em, nie Martinezem.

Aż zaniemówiła z oburzenia. Kolana drżały jej tak, że ledwie mogła utrzymać się na nogach. Serce trzepotało się rozpaczliwie.

- A teraz pozwoli pani, że ją pożegnam - Rafe rzucił drwiąco i spał konia. - Muszę wracać do pracy.

A więc utraciła go - przebiegło jej przez głowę. Jeannie, nie zastanawiając się, co robi, rzuciła się biegiem przez polanę i dogoniła Rafe'a tuż na jej skraju. Uczepiła się strzemienia i konwulsyjnie, jak oszalała, poczęła nim szarpać:

- Jedź, jedź sobie, jazdy, ty!...

Czarny wałach spłoszył się i stanął dęba. Przerażona Jeannie odskoczyła w bok. Rafe okiełznał konia żelazną ręką. Był wściekły, ale opanował się.

- No, Jeannie, dokończ: „jazda, ty...”?

Wiedziała, że będzie żałowała tych słów, bo słowa potrafią rozdzielić na zawsze. Ale ból nie pozwalał jej milczeć.

- Ty smoluchu! Uciekasz od odpowiedzialności! A ty masz obowiązek, rozumiesz?, masz obowiązek powiedzieć rodzonemu synowi, kim jesteś, kim dla niego jesteś?

Duma rozdeła mu nozdrza. Spiał konia i odjechał.

Rozdział 12

- Spokojnie, Panienko - mówiła cicho Jeannie do żrebnej kobyły w zaawansowanej ciąży. Podwiązała jej ogon paskiem gazy i odchyliła na bok. - Zanim cokolwiek poczujesz, już będzie po wszystkim. Panienska leżała na świeżo podścielonej jęczmiennej i żytniej słomie.

Wszystko było przygotowane. Już od pół godziny sapała i parła na przemian; tylko

patrzeć, jak urodzi się żreback.

- Wierzysz czy nie - Jeannie uklękła przy niej i pogłaskała miękkie chrapy - tego bólu nie będziesz nawet pamiętać.

Wczoraj w nocy, po powrocie z obozu Jeannie zauważyła, że kobyła potnieje na brzuchu i bokach i wierzga jak oszalała. Jeannie była przybita po kłótni z Rafe'em. W domu i tak nie zmrużyłaby oka, przyszła więc spać do stajni.

I dobrze zrobiła. Pomagając Paniencie w czasie porodu, przynajmniej na chwilę zagłuszy wyrzuty sumienia. Serdecznie żałowała swego zaślepienia i gniewu. To Rafe ją sprowokował, ale mimo to nie może być dla niej usprawiedliwienia - nawet nie powinna była myśleć w ten sposób, a co dopiero mówić. Wstyd palił jej policzki. Jedyne, co mogła teraz zrobić, to błagać go o przebaczenie.

Panienska teraz już naprawdę parła. Jeannie otrząsnęła się z ponurych myśli. Czas był już najwyższy, żreback pchał się na świat. Jeannie ustawiła się tak, by go w odpowiednim momencie pochwycić i bezpiecznie wyciągnąć.

- Pomóc ci?

Natychmiast się odwróciła. W drzwiach boksu stał Rafe.

- Och, ale mnie przestraszyłeś. - Była tak zajęta własnymi myślami i krzątaniem wokół Panienki, że nie słyszała ani otwieranych drzwi, ani jego kroków.

- Przepraszam, nie chciałem.

- Wiem.

- No to co z tą pomocą? - Pytał wprawdzie szczerze, ale twarz miał obojętną, bez wyrazu, jakby z góry wiedział, że Jeannie odmówi.

- Możesz mi pomóc w inny sposób. - Starła się mówić spokojnie, z rozwagą, choć w głębi ducha była przerażona. - Zostań jeszcze chwilę.

- Nie ma sprawy - uśmiechnął się blado.

Jeannie nie mogła powstrzymać ziewnięcia. To huśtawka emocjonalna ostatnich dwudziestu czterech godzin dawała o sobie znać. - O Jezu, która godzina?

Rafe odsunął palcem rękaw koszuli i spojrzął na zegarek.

- Kwadrans po piątej.

- Padam z nóg.

- Nie śpisz przez całą noc.

Patrzyli na siebie ponad łbem leżącej niespokojnie Panienci.

„Nie mogę spać” - mówiły głębokie, szare oczy.

„Ani ja” - odpowiadały niebieskie.

Kobyła zarżała i Jeannie znów się nad nią pochyliła, pomagając jej dziecku przyjść na świat. Rafe ukląkł obok i dmuchał ostrożnie w chrapy źrebaka, by oczyścić jego drogi oddechowe. Jeannie tymczasem ściągała resztki łożyska.

- Zobacz, ma znamię na czole.

- Takie jak ojciec.

Twarz Rafe'a przebiegł skurcz, Jeannie natychmiast zamilkła. Usiadła na piętach. Po dłuższej chwili milczenia Rafe odezwał się:

- Powinienem być przy tobie, kiedy rodził się Tony.

- Może lepiej, że nie byłeś.

- Czemu?

- Bo ja nie wzywałam twego imienia. Klęłam cię strasznie.

- Dziwi mnie czasem, że nie masz dość mojej obmierzłej gęby.

- Ja cię kocham, Rafe. Zawsze cię kochałam i zawsze będę kochać. Jeannie powiedziała to po prostu i bez ogródek. Rafe chwycił ją za rękę.

- Ja też cię kocham, Jeannie - powiedział z twarzą tuż przy jej twarzy. Łzy nabiegły jej do oczu.

- Wczoraj myślałam, że wyrwę sobie język. Pogłaskał ją po jej pięknych włosach.

- Cóż, nieraz już słyszałem gorsze wyzwiska.

- Ale ja nigdy...

- Wiem. Bo najgorzej kłamię ja sam.

Ależ to oznaczało, że Rafe zmienił zdanie i nigdzie nie wyjeżdża! Jeannie chciała krzyczeć z radości.

Panienka zarżała znowu. Pomyśleli, że lepiej ją teraz zostawić w spokoju i wyszli z boksu.

- Postanowiłem, że powiem rodzicom o Tonym w środę, jak tylko wrócę z sądu - powiedział Rafe. - A potem zwołam konferencję prasową i przedstawię go publicznie jako mego syna.

Jeannie westchnęła.

- To wspaniale, ale...

- Ale co?

- Ale co z twoją kampanią wyborczą?

- Sądzę, że jeśli teraz złożę publiczne oświadczenie, cała prasa do przyszłego roku ucichnie.

- I w ten sposób będziemy mogli zająć się wielkimi przedsięwzięciami, na przykład reformą szkolnictwa...

- Jeannie!

- Słucham?

- Ależ ty mówisz jak żona polityka!

- Cóż, nasiąkam. Rafe wziął ją w ramiona.

- Ha, trudno mi będzie dotrzymać kroku takiemu jak ty zapaleńcowi. Uśmiechnęła się i powiedziała po prostu:

- Staraj się, Rafe, staraj.

Na dworze wstawał siwy świt, malując na wysokim teksańskim niebie soczystą różową zorzę, zaś w stajni rodzice dziesięcioletniego chłopca witali nowy dzień gorącym pocałunkiem i solennym postanowieniem, że najwyższy już czas powściągnąć wojownicze zapędy tego małego, zapalczywego indorka.

Tony nie mógł sobie poradzić ze złapaniem cielaka na łąso. Spróbował jeszcze raz, ale znów rzucił za blisko. Rafe, który cały czas mu się przyglądał, wiedział, jaki błąd robi chłopiec. Ale nie miał pojęcia, jak mu to pokazać. Mały zaraz zjeży się, a i Rafe'owi nie będzie przyjemnie czuć się odrzuconym.

Chłopiec opuścił ręce. Był przygnębiony. Zaczął zwijać linę na łokieć - zbyt ściśle, Rafe zauważył to od razu. Cielak okazał się w dodatku złośliwy: wierzgnął i obsypał siedzącego na małym koniku Tony'ego brudnym piachem.

- Słuchaj, zastąp mnie - powiedział Rafe do pracującego z nim chłopaka. Podał mu rozgrzane żelazo do znakowania, po czym poszedł do koni. Jego osiodłany wałach stał przywiązany do słupka razem z klaczą Jeannie i gniadoszem Rusty'ego.

- Jak nie tak, to inaczej - mruknął Rafe i wskoczył na siodło. Tym razem upiecze dwie kury na jednym ogniu - postanowił. Trzymał w ręku łąso plecione z niewyprawionej skóry - rzadko już takich się używa, od kiedy pojawiły się sznury nylonowe. Cmoknął na konia i puścił go stępa. Zatoczył półkole. Świadomość, że przyszłość ich trojga zależy od tego, jak mu się powiedzie, podziała na niego jak ostroga. Jeśli uda mu się teraz oswoić Tony'ego, jeśli choć na kilka

chwil zdobędzie jego sympatię - ostatnia przeszkoda pomiędzy nim a Jeannie będzie pokonana.

Tony wyprostował się w siodle i podniósł głowę, śledząc Rafe'a spod oka. Spozstrzegł w jego ręku skórzany rzemień i zaczął przyglądać się mu z ciekawością. Rafe udawał, że nic nie widzi - nie chciał chłopca płoszyć. Kręcił się dookoła stada, w końcu upatrzył sobie odpowiednią sztukę i pogonił za nią. Koń był dobry, trzymał się cielaka, jakby był do niego uwiązany. Rafe był gotów. Przygotowywał się wolno, aby Tony mógł widzieć każdy jego ruch.

Chłopiec galopował na swoim koniku w ślad za Rafe'em, nieco z boku. Kątem oka Rafe dostrzegł, że malec starał się go naśladować. Trzymał swój nylonowy sznur prawidłowo, samymi czubkami palców. Rafe wiedział, że od tego rzutu zależeć będzie wszystko.

Zwykle łapie się zwierzęta na lasso, zarzucając sznur albo na szyję, albo na tylne nogi. Pierwszy sposób jest łatwiejszy i to właśnie wybrał Rafe. Popuścił trochę rzemienia, by uformowała się pętla, i, wyciągając do góry rękę, zakręcił lassem nad głową.

Rzut był pewny, cielak nie miał szans. Rafe był z siebie dumny, ale prawdziwa radość ogarnęła go, gdy zobaczył, że i Tony'emu się udało!

Jeannie, gdy zobaczyła, że jada w jej stronę, pobiegła im naprzeciw, aż wiatr zerwał jej z głowy kapelusz i rozwiął włosy.

Śmiała się, a w oczach miała łzy.

- Było na co popatrzeć - powiedział z uznaniem Rusty. Podszedł, by przejąć zdobycz. Dwa dorosłe cielaki zaraz zostaną oznakowane.

I wtedy stało się najgorsze.

Może Rusty za słabo chwycił linę? Jego chroniczny artretyzm ostatnio dawał mu się porządnie we znaki. A może

potknął się, strasząc i tak już przerażone zwierzęta. Nikt nie spostrzegł, jak do tego doszło. Dość, że kiedy racice przestały tuc o ziemię i wielka chmura kurzu opadła, Rusty leżał na piachu jak długi.

Jeannie widziała wszystko, ale stała spokojnie, czekając, aż Rusty się podniesie. I nagle z przerażeniem zdała sobie sprawę, że stało się coś niedobrego. Szybko pobiegła do leżącego.

- Nie ruszajcie go! - krzyknęła.

Dwaj kowboje, którzy pochylali się nad Rustym, by go przenieść na rozpostarty na ziemi śpiwór, cofnęli się. Jeannie ukłękła przy rannym. Nie miała pojęcia jak mu pomóc. Cała koszula Rusty'ego była w strzępach. Strzępy te powoli nasiąkały krwią sączącą się ze stratowanej piersi. Język i usta też były skrwawione, a twarz wykrzywiał grymas bólu. Jeannie zrozumiała, że Rusty Pride już nigdy więcej nie wstanie z ziemi.

- Laurinda? - ledwie mógł mówić; dookoła panowała śmiertelna cisza.

Łzy przesłoniły oczy dziewczyny. Rusty majaczył i mylił ją z matką. Wzięła go za rękę i ścisnęła lekko, nie wiedziała co powiedzieć. Pochyliła się nad nim; za to, co przez całe życie dla niej zrobił - tyle przynajmniej mogła zrobić dla niego. Płacząc, szepnęła przez ściśnięte gardło:

- Jestem przy tobie.

Ożywił się nieco; podniósł rękę i pociągnął za kosmyk jej włosów. Zabolalo, ale Jeannie nie zważała na to.

- Mówiłem... że włosy... jeszcze ci odrosną.

Ręka opadła. Rusty był teraz u boku pani swego serca, którą zawsze wielbił z oddali.

Światło w sypialni na piętrze świeciło samotnie w pustce i mroku jak latarnia morska. Do okna podeszła kobieta. Światła studebakera powoli gasły w ciemności.

Rozdział 13

Mała cieplarnia, nie wiedzieć kiedy zbudowana na tyłach domu Rusty'ego, wyjaśniła zagadkę pięknych żółtych róż składanych na grobie Laurindy Crane.

- Mówiłem, że to nie dziadek kładł te róże - Tony miał minę detektywa, który wcześniej niż wszyscy poznał prawdę.

Jeannie objęła go i przycisnęła do piersi. Zrobiło się jej smutno, gdy pomyślała, że biedny Rusty całymi latami usychał z miłości do kobiety, która nigdy nie porzuciłaby swojego męża. I to nie dlatego, że go kochała. Wystarczyło jej, że był odpowiednio bogaty.

- Apsik! - kichnął Tony. - Pachnie tu kwiatami, jakby ktoś umarł. Jeannie nic na to nie powiedziała. Przez długą chwilę wdychała mocno słodki,

niezwykle intensywny zapach róż.

Przyszli do domu Rusty'ego, by wybrać garnitur, koszulę i krawat, w których Rusty pozostanie już na zawsze. Cicho weszli do sypialni, każde zatopione we własnych myślach. Jeannie zapakowała do torby ubranie i zarzuciła ją na ramię.

- Idziemy? - rozejrzała się za Tonym. Siedział na podwójnym łóżku, które Rusty sam zmajstrował. Bawił się odziedziczonym po Wielkim Tomie nożem i wyglądał na zasepionego.

- Tony? - ponagliła go łagodnie.

- Zapomniałem mu podziękować - powiedział swym dziecięcym głosem. Jeannie potrząsnęła głową.

- Komu podziękować, kochanie?

- Rafe'owi. - Przyjrzał się jej bacznie. - Za to, że mnie wczoraj nauczył łapać na lasso.

- Podziękujesz mu jak wróci - pogłaskała go po policzku.

- A jeśli nie wróci?

Cóż, po tym telefonie wczoraj sama nie była pewna.

Siedzieli właśnie we trójkę przy stole i omawiali sprawy związane z pogrzebem Rusty'ego. Nagle do Rafe'a zadzwonił telefon. Rafe prowadził sprawę jakiejś , kobiety, która starała się o rozwód. Wszystko to było dość przykre, jej mąż za nic w świecie nie chciał się wyprowadzić, groził jej, próbował nawet bić. Kobieta błagała Rafe'a o nakaz eksmisji męża. Musiał w związku z tym jechać do San Antonio. A że i tak rano miał zajrzeć do sądu, zdecydował, że tę noc spędzi w mieście i wróci następnego dnia po południu.

- Och, znowu! - jęknęła Jeannie, gdy zabrał się do pakowania swoich rzeczy. Zerwała się od stołu, gotowa błagać, by zlecił sprawę komuś innemu... gotowa przypomnieć mu, że sam mówił, iż dość już ma bronienia obcych ludzi. Pobieгла za nim do oficyny, ale po drodze uspokoiła się trochę. Przecież ten wyjazd jest zupełnie inny niż tamten, jedenaście lat temu, kiedy to słuch po Rafe zaginął. Wiedziała dokąd jechał i kiedy wróci. A gdy całował ją na pożegnanie, namiętnie jak sam Rudolf Valentino, Jeannie wiedziała już na pewno, że wróci.

- Wróci na pewno - powiedziała to bardzo dobitnie, by rozwiać wątpliwości Tony'ego.

- Dobrze - Tony ciągle nie był przekonany. Wstał i schował nóż do pochwy.

- No, idziemy? Pokręcił głową.

- Wczoraj wieczorem... Pytająco zmarszczyła brwi.

- Co wczoraj wieczorem?

- Rafe zapytał cię, czy na pogrzeb Rusty'ego może zaprosić swoich rodziców...

- Tak?

- A ty powiedziałaś: „To świetny pomysł. Chciałabym bardzo zobaczyć się z Marią i...”

Gdy Tony pytał, dlaczego nie ma tatusia, tak jak inne dzieci, Jeannie starała się mówić mu prawdę. Nie chciała

dziecka okłamywać. Głosem najłagodniejszym w świecie mówiła, że jego tatuś nie mógł się z nią ożenić. A gdy malec dopytywał się o jego imię, obiecywała, że sama mu je powie, ale gdy będzie trochę starszy.

Pomyślała, że może teraz właśnie nadszedł czas, by zdradzić Tony'emu imię jego ojca.

- ... z Marią i... i z kim?

- Z Antonio.

Tony chrząknął, zbieżność tego imienia z jego własnym wydała mu się intrygująca. Już otwierał usta...

- Jest tu kto? - zawołał Rafe uchylając wejściowe drzwi.

- Tutaj! - odpowiedział Tony. Tak jak i Jeannie, on także bardzo się ucieszył. Oboje też wyrazili zdziwienie, że Rafe już wrócił.

Rafe wszedł do środka. Wyczuł ich ciekawość.

- Zdobyłem nakaz eksmisji. A. potem zatelefonowałem do sędziego i poprosiłem o przesunięcie terminu rozprawy z uwagi na konieczne środki bezpieczeństwa.

Tony pobiegł przywitać się. Zaraz oczywiście jednym tchem opowiedział o wszystkim, co on i Jeannie odkryli w cieplarni. Spytał:

- Rafe, dlaczego Rusty to robił?

Jeannie uśmiechnęła się, gdy Rafe odpowiedział:

- Wiesz, czasem jest tak, że pierwsza miłość jest także ostatnią.

- Gdzie jest Tony?

- Właśnie zasypia w namiocie. Rafe zmarszczył brwi.

- Czy na pewno nic mu się nie stanie? Jeannie wzruszyła ramionami.

- Tak bardzo chciał...

- A jeśli się wystraszy?

- Zawsze ktoś może go przyprowadzić z powrotem.

- To pewni ludzie? Jak długo ich znasz? Położyła mu rękę na ustach.

- Mówisz jak świeżo upieczony ojciec.

- Przecież nim jestem!

Stali w przedpokoju. Przez okno na półpięterku zaglądał księżyc, srebrząc włosy Jeannie i zamieniając błękit oczu Rafe'a w ciemny granat północnego nieba. W tym niewielkim, pogrążonym w półmroku holu obrazy, dźwięki i zapachy nabierały nowych treści. Miękka jedwabna bluzka Jeannie i bawełniana koszula Rafe'a... mocny, słodki zapach łąkowych kwiatów i tropikalny aromat toniku... Jeannie i Rafe czuli, że są sobie bliżsi niż kiedykolwiek.

- A więc - Rafe objął ją i przytulił do siebie - nasz syn śpi dziś poza domem. To znaczy, że jesteśmy sami...

Delikatnie powiodła palcem wzdłuż jego brwi, koło ucha, po szorstkim od zarostu policzku.

- W takim razie teraz coś dla taty - zamruczał jej do ucha. Poczowała, jak kolanem trze o jej udo.

Było to także coś dla mamy i Rafe szybko się o tym dowiedział. Całowała go równie gorąco, równie śmiało i namiętnie jak on ją. Łaskotał językiem jej wargi, wodził nim po ostrych, perłowych ząbkach, zbierał puszek z gładkiego jak atlas policzka. Zarzuciła mu ręce na szyję i napierała na niego piersiami, kołysząc się wolno, zmysłowo, sennie.

Rafe wtulił się w jej pachnące południowym słońcem ramiona. Oddychał głośno.

- Czy wiesz, że mamy dziecko, a mimo to nigdy nie byliśmy w łóżku?

Jeannie odchyliła w tył głowę i zamknęła oczy. Przyptyw rozkoszy bił falą o brzegi jej ciała. Powiedziała drżącym głosem:

- Łatwo możemy to naprawić. Wystarczy tylko wejść na górę..., Wziął ja na ręce i zaniósł po schodach do jej sypialni... do ich sypialni. Światło

paliło się w niej tej nocy długo...

Rusty zawsze był prawą ręką Laurindy, pochowano go więc po jej prawej ręce. A ponieważ swoje róże hodował specjalnie dla niej, przesadzono je z cieplarni w róg cmentarza, zakładając tam mały, pachnący ogródek wspomnień.

Zebrana przy grobie grupa żałobników nie była tak liczna jak dziesięć dni temu, kiedy odprowadzano trumnę Wielkiego Toma. Rusty nie miał ani jego pozycji, ani jego znajomości. Poza tym był raczej samotnikiem.

Lecz istotne było to, że przyszła tu dziś cała trójka najbliższych mu osób. Kobieta, dla której był drugim ojcem i którą niemal wychował. Mężczyzna, którego nauczył jazdy konnej i władania lassem. I chłopiec, który teraz miał już nowego nauczyciela.

Byli i inni, którzy też weszli w jego skromne życie. Kowboje, którymi kierował na ranczo i którzy nawet nie pamiętali, ile razy brali udział w wiosennym znakowaniu. Kucharka, którą zawsze nazywał „dziwadłem”, ale za której kulinarną sztuką przepadał. A także meksykańscy dziadkowie, którzy bardzo przeżywali pierwsze spotkanie z ich dziesięcioletnim wnuczkiem.

Smutna uroczystość dobiegła końca. Żałobnicy wolnym krokiem ruszyli ku domowi. Jeannie, Rafe i Tony zostali najdłużej; w końcu i oni opuścili cmentarz.

- Rusty pokazał mi, jak się struga nożem - pochwalił się Tony.

- Mnie też - powiedział Rafe, czym zdumiał chłopca. Jeannie uśmiechnęła się.

- A mnie zmajstrował szkatułkę na kolczyki, gdy przekłułam sobie uszy. Tony popatrzył na nich uważnie.

- Czy ty i mama weźmiecie ślub? - spytał Rafe'a.

- Tak. Chyba czas najwyższy, prawda, kochanie?

Tony wyciągnął z kieszeni nóż Wielkiego Toma i długo mu się przyglądał. Myślał o czymś. Wreszcie go schował, nabrał powietrza w płuca i zwrócił się do Rafe'a:

- Moje imię jest takie samo jak imię twojego taty.

- A twoje drugie imię jest takie samo jak Wielkiego Toma.

- Ktoś na pogrzebie dziadka powiedział, że jestem do ciebie podobny jak dwie krople wody. Ty jesteś moim tatą, prawda?

Rafe uśmiechał się do niego, uśmiechał się do całego świata.

- Tak. Jestem twoim tatą.

- To... - Tony zawahał się. Podrapał się w głowę, przestąpił z nogi na nogę. Coś go nurtowało, chciał coś powiedzieć, ale nie mógł się zdecydować. W końcu odezwał się: .

- To gdzie ty byłeś?

Rafe milczał. Napawał się przez chwilę słodką myślą o zemście.

To było nareszcie to, na co przez jedenaście długich lat czekał, o co się modlił, o czym marzył. Kilkoma starannie dobranymi słowami mógł całkowicie zburzyć dobrą pamięć o Wielkim Tomie, wybić Tony'emu z głowy imię dziadka. Mógł teraz zniszczyć starego zakłamanego sukinsyna, jak i on próbował kiedyś zniszczyć Rafe'a. Mógł pograżyć go ostatecznie w oczach Jeannie, wystarczyło tylko dokładnie powtórzyć to, co stary powiedział mu w gabinecie tego dawnego, pamiętnego dnia.

Ale czy mógł to zrobić kosztem chłopca i kobiety, którzy byli przecież jego sercem i duszą?

I nagle pomyślał, że gorycz i żal, które tak długo nosił w sercu, nie są aż tak wielkie jak sądził. Wielki Tom nie żył i nie ma sensu dowodzić, że był łajdakiem. A poza tym Rafe wziął już na nim pomstę - największą, jaką mógł sobie wyobrazić.

- Szukałem ciebie, mój synu - objął Tony'ego ramieniem. Poczuł, że i malec go obejmuje. Drugim ramieniem objął Jeannie. Byli jedną rodziną.

- Szukałem ciebie i mamy.

Epilog

Senator Rafe Martinez wszedł na podium, by złożyć uroczystą przysięgę. Za nim, ubrana w doskonale leżącą i bardzo kobiecą w kroju suknię, stała jego żona z jedenastoletnim synkiem. Senator Martinez ożenił się półtora roku temu.

Jego głos brzmiał głośno i czysto. Z podniesioną prawą ręką przysięgał na konstytucje stanu Teksas i Stanów Zjednoczonych, że do ostatniej kropli krwi będzie walczył o zachowanie praw i wolności zagwarantowanych tymi starymi i wielce szacownymi aktami prawnymi.

Ceremonia trwała krótko, zaledwie pięć minut. Po jej zakończeniu przeznaczone dla publiczności loże Senatu eksplodowały wiwatami i aplauzem. To była trudna kampania i sukces Rafe'a, czarnego konia wyborów, był tym większy.

Wyborcy, jak to przepowiedziała kiedyś Jeannie, nie mieli Rafe'owi za złe młodzieńczej lekkomyślności. Owszem, prasa babrała się w przeszłości Martineza miesiącami. Ale uznanie i szacunek, jakimi cieszył się Rafe, zepchnęły w cień gazetowe sensacje.

Smagły senator z San Antonio odwrócił się, by ucałować swą złotowłosą żonę i syna. Loże oszalały z radości. Ta - już wkrótce czteroosobowa rodzina - była symbolem nowych czasów. W tym mężczyźnie i w tej kobiecie uosobiony był nowy, odrodzony Teksas - stan, w którym oceniano ludzi według ich predyspozycji osobistych i zawodowych, a nie według ich pochodzenia i narodowości przodków.